

„Jeden z najbardziej interesujących współczesnych głosów, jakie
wydała obfitująca w literatów ziemia zwana Argentyną”.

— LA JORNADA SEMANAL

María
Fasce

Kobieta
z
Isla
Negra

María Fasce

Kobieta
z
Isla
Negra

Z języka hiszpańskiego przełożyła
Patrycja Zarawska



Tytuł oryginału:
LA MUJER DE ISLA NEGRA

Copyright © María Fasce
c/o Schavelzon Graham Agencia Literaria
www.schavelzongraham.com

Copyright © 2017 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2017 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie autorki: © Lola Albornoz

Redakcja: Aneta Banasik
Korekta: Marta Chmarzyńska, Iwona Wyrwisz, Magdalena Bargłowska, Aneta Iwan

Ta książka została wydana dzięki dotacji Hiszpańskiego Ministerstwa Edukacji, Kultury i Sportu



ISBN: 978-83-8110-200-1

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o. o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2017

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Dedykacja

Motto

I

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

II

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

III

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

IV

1

2

3

4

5

6

7

8

Epilog

Od autorki

Przypisy

*Dla mojego ojca, który słuchał boler,
podczas gdy pisałam tę powieść.*

Dla mojej matki, na zawsze.

„Może nadejdzie dzień, w którym mężczyzna
i kobieta, tacy
jak my, dotkną tej miłości i wciąż będą mieli siłę,
by znieść żar parzący dłonie.
Kim byliśmy? Jakie to ma znaczenie?”

Pablo Neruda,
La carta en el camino,
z tomu *Wiersze kapitana*

„Skrawki życia są tak skomplikowane jak obraz galaktyki”.
Marguerite Yourcenar,
Le labyrinthe du monde

I

1

W ciemności wyraźniej widać szczegóły. Każdy obraz łączy się z dźwiękiem i odcina ostro na tle czerni i ciszy. Na przykład kroki. Za dnia nikt nie zwraca na nie uwagi, ledwie się je słyszy. Nikt nie dostrzega dłoni dotykającej ręki, kolana. Umykają nam ważne rzeczy. Opada ramiączko, ciało poddaje się i pocałunki brzmią w mroku jak ciche trzaski. Śmiech miesza się ze światłem, ale w ciemności może przestraszyć jak grzmot. Kobieta się śmieje. Nie śmieje się jak moja mama ani jak kobiety, których śmiech do tej pory słyszałam; jej śmiech jest głośniejszy, bardziej przenikliwy.

Zsunęła z siebie ubranie. Miała opalone plecy i duże, trochę obwisłe pośladki. A na nogach zaznaczały się mięśnie, jak u tancerek. Na lewej łydce widniała ciemna plama wielkości śliwki. Sukienka opadła i otoczyła jej kostki, jakby kobieta stała pośrodku stawu, w którym pływały biustonosz i majtki, jedno i drugie w kolorze złota.

Pablo nie był nagi. Podszedł do okna i usłyszałam skrzypnięcie krzesła – usiadł, żeby zdjąć buty i ubranie, a teraz zmierzał do łóżka. Zarost na piersi sięgał mu aż do ramion i ciągnął się dwoma pasmami po plecach.

– Odwróć się. – Kobieta znowu się roześmiała. Leżała już w łóżku, zauważyłam czarny trójkąt między jej nogami.

– Z czego się śmiejesz? – zapytał.

– Masz ciało jak niemowlę: maleńkie, zapadnięte pośladki i ogromną głowę.

Kobieta wciąż się śmiała, ale Pablo położył się na niej i stłumił jej śmiech. Pociągnął za prześcieradło i przykrył oboje.

Potem słyszałam już tylko sapnięcia podobne do parskania zwierząt, a nieco później zduszone okrzyki kobiety, jakby mężczyzna ją ranił. Stłumiony skowyt, a potem już nic.

Wstrzymałam oddech ze strachu, bojąc się, że poruszę wieszaki z ubraniami. Dopiero wtedy dotarł do mnie zapach perfum. Jaśminowych.

Przez chwilę zastanawiałam się, czy kobieta umarła. Potem dostrzegłam, jak wystawia spod przykrycia głowę i ramiona. On zrobił to samo. Leżeli

spokojnie, patrząc w sufit.

Ona wstała i schyliła się po ubranie. Ruda kaskada włosów i wielkie piersi dotknęły kolan. Kobieta włożyła majtki i stanik, a jej ciało odzyskało kształt gruszki.

Pablo poklepał poduszkę i kobieta podeszła do niego. Znowu się położyła, po czym oboje zasnęli.

Było to trzeciego dnia mojego pobytu w Isla Negra, w porze sjesty. Poszłam na górę, żeby zobaczyć pokój Pabla, i usłyszałam śmiechy na schodach. Szafa była otwarta, w środku starczyło miejsca, żebym się zmieściła, schowałam się więc w niej i zamknęłam. W drzwiach były żaluzjowe listewki, dlatego mogłam patrzeć, sama nie będąc widziana.

Sukienka nadal leżała na podłodze. Pochrapywanie Pabla mieszało się z tykaniem zegara stojącego na nocnej szafce. Kobieta nie chrapała, ale jej ciało unosiło się i opadało rytmicznie pod prześcieradłem.

Ostrożnie otworzyłam drzwi szafy i wyszłam. Poczułam, jak zalewa mnie woń – słodka, lepka, nieznaną.

Wróciłam do swojego pokoju i zapatrzyłam się w okno. Po chwili Pablo z kobietą wyszli z domu tylnymi drzwiami. Ruszyli w stronę drzew.

Weszłam do kuchni i umyłam sobie ręce. Wcześniej zbierałam gałęzie w lesie. I sosnowe igły. Pablo posypał nimi rybę; powiedział, że nadają jej szczególny smak.

Mama stała odwrócona do mnie plecami, pochylona nad zlewem, z włosami związanymi na karku. Nie usłyszała, jak wchodziłam, ponieważ kroki zagłuszył szum lejącej się wody. Czerwone palce walczyły z prześcieradłami. Tymi samymi białymi prześcieradłami, które wczoraj rozścieliłyśmy na łóżku Pabla. Płakała? Nie, moja matka nigdy nie płakała.

Postawiłam kosz z gałęziami pod oknem i znów wyszłam z domu.

Usiadłam na jednym z galionów i zostałam tam przez dłuższą chwilę, przyciśnięta do sterczących sutków drewnianych syren. Kiedy moje tak urosną? Miałam już dwanaście lat, a wciąż wyglądały jak dwa ledwie zaznaczające się kamyki.

2

– Dlaczego mówią na to miejsce Isla Negra, skoro nie przepławiamy się przez morze? – zapytałam mamę. – Czy to z powodu tych czarnych ptaków? Jak się nazywają?

– Tak, tak – odpowiedziała nieobecna duchem. – To przez kruki – wymyśliła na poczekaniu. Te ptaki to wcale nie były kruki. Nad morzem nie ma kruków.

Całą drogę wyglądałam przez okno i nagle wreszcie się pojawiło – morze, przypominające w słońcu błyszczącą wstążkę przyklejoną do krajobrazu.

– Zdaje się, że już niedaleko – rzekła mama.

Plaża była pełna skał i wodorostów, a na piasku widniały czarne plamy.

– Isla Negra – zawołał kierowca.

Wysiadłyśmy. Jakaś para z niemowlęciem, gruby mężczyzna w berecie, staruszka z włosami splecionymi w dwa warkocze.

Mama zapytała o coś kierowcę, a on wskazał ręką w prawo, choć nic tam nie było widać. Chwyciła walizkę i torbę, ja wzięłam dwie plastikowe torby i ruszyłyśmy w kierunku, który nam wskazał szofer.

Ubrane byłyśmy jak zawsze, kiedy się wybierałyśmy do centrum. Ja miałam na sobie białą sukienkę, która trochę się pogniotła w podróży. W Temuco siadywałam na tarasie w słońcu, dlatego teraz dobrze wyglądałam w bieli. Mama, przeciwnie, miała zielonkawą skórę. Rozpuściła włosy i uczesała się z przedziałkiem na boku. Wolałam ją z włosami związanymi i przedziałkiem pośrodku, jak zwykle. Założyła sandały i pomalowała sobie usta. Prawie nigdy tego nie robiła – szminka uwydatniała jej bladość i zmarszczki po bokach ust; sprawiała, że wargi wydawały się cieńsze. Sama kiedyś wypróbowałam tę szminkę w kolorze czereśni i przejrzałam się w lustrze: wyglądałam inaczej, na piętnaście lat, a moje oczy sprawiały wrażenie jaśniejszych. Miałam ochotę zrobić sobie zdjęcie, ale schowałam pomadkę z powrotem do apteczki i wytarłam usta wacikiem. Gdyby mama zapomniała o szmince w apteczce, czy wróciłybyśmy po nią? A może już nigdy nie wrócimy?

Wiał ciepły, wilgotny wiatr. Mama miała kropelki potu nad górną wargą, a za każdym razem, kiedy podnosiła ramiona, rozchodził się kwaśny zapach, od którego robiłam się głodna.

Podążyłyśmy drogą biegnącą przez ogród. W górze widniały kamienne schody i dom, też kamienny.

Droga pięła się z boczem, trudno ją było pokonać pod górę, ale za to schodzenie będzie łatwe. Dokuczały mi komary i cały czas myślałam o tym, kiedy do moich białych butów dostanie się ziemia.

Minęłyśmy fontannę z konikami morskimi i dalej szłyśmy już węższą dróżką. Dom wyglądał jak chatka Baby-Jagi z bajki o Jasiu i Małgosi. „Na pewno są tam psy” – pomyślałam.

Kilka metrów przed domem mama postawiła walizkę i torbę pod drzewem, a ja położyłam obok swoje pakunki. Na dróżce pojawił się pies z językiem tak wywieszonym, jakby mu ciążył. Zaszczekał i podszedł prosto do moich nóg. Tym koty różnią się od psów: psy zawsze ocierają się o tych, którzy się ich boją, koty takich ludzi ignorują.

Mama stała przed drzwiami, nie mając śmiałości, by zapukać. Poprawiła sobie włosy.

Do okna podszedł wysoki mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami. Potem otworzył drzwi i podali sobie ręce. Spojrzeli na mnie.

Mężczyzna podniósł głowę, jakby sobie o czymś przypomniał.

– Elisa – rzekł.

I ruszył w kierunku miejsca, gdzie czekałam.

– Witaj, Eliso. Jestem Pablo – powiedział i pocałował mnie, a jego broda podrapała mnie po twarzy. Wskazał drugą stronę domu. – Jest tam coś, co może ci się spodobać.

Wiatr szumiał w liściach. Ten ogród był większy niż tamten od frontu, a na jego końcu, za krzewami, za pniami i za opadłymi gałęzmi zaczynał się las.

Na trzech drewnianych słupach ustawionych w kształt trójkąta wisiało pięć dzwonów. Największy górował nad pozostałymi, mniejszymi niczym dzieci – jakby rodzina dzwonów. Nie mogłam się oprzeć i dotknęłam jednego; gdybym tego nie zrobiła, prześladowałby mnie pech. Wyciągnęłam się, żeby dosięgnąć liny, i dwa razy dotknęłam tego samego dzwonu; gdybym dotknęła wszystkich, też sprowadziłabym na siebie nieszczęście. Po lewej od

dzwonnicy widniały dwie drewniane syreny z nagimi piersiami, które sterczały im na boki.

Pablo pomachał do mnie. Zawstydziłam się, że widział, jak dotykam dzwonów, wyglądało na to, że stoi tu od jakiegoś czasu; był sam, bez mamy. Podszedł bliżej i biała plama słońca znalazła się za jego twarzą, dużą i ciemną.

– Podoba ci się? – zapytał, wykonując ręką zamaszysty gest.

– Co?

– Wszystko. To miejsce, Eliso – powtórzył moje imię, jakby musiał się go nauczyć na pamięć, jakby wypowiedanie go sprawiało mu przyjemność.

– To wszystko jest pana?

– Tak.

– I morze też?

– Też. – Odwrócił się. – Chu-Tuh, chodź tutaj.

Pies podbiegł do jego ręki i pochylił głowę. Pablo pogładził go po grzbiecie. Popatrzył na mnie, spodziewając się, że ja też go pogłaszczę, ale nie zrobiłam tego. Chu-Tuh to było dziwne imię dla psa.

– Dlaczego nazywają to miejsce Isla Negra, skoro to nie jest wyspa?

– Chodź – rzekł. Położył dłoń na moim ramieniu i zaprowadził mnie dalej.
– Widzisz?

Spojrzałam w kierunku, który wskazywał ręką: z morza wystawała duża czarna skała podobna do skorupy olbrzymiego żółwia.

– Ale jeśli wolisz, możemy zmienić nazwę i mówić na nią Isla Roja¹. Od maków.

Rozejrzałam się.

– Jakich maków?

Też się rozejrzał, szukając ich wzrokiem.

– Gdy tu przybyliśmy, były maki. – Nagle wydał się rozczarowany ich brakiem. – Delia o nie dbała. To ona je przywiozła. Musimy ją powiadomić, że ich nie ma. A teraz wywiesimy banderę.

Wszedł do domu i wrócił z kawałkiem materiału. Ruszył ścieżką i dał mi znak, żebym poszła za nim.

Obok kamiennej ławki i kotwicy stał maszt. Wciągnęliśmy na niego banderę, niebieską, z rybą w kółku otoczonym napisem, układającym się w słowo Neruda.

3

Zapach eukaliptusów zniknął, kiedy przekroczyliśmy próg.

– Uwaga na stopień – ostrzegł nas Pablo i mama chwyciła mnie za rękę. Uwolniłam się.

Weszliśmy do pierwszego pomieszczenia – salonu, który wyglądał jak pokład statku. Za oknem rozciągało się morze. Pablo zapalił wiszący u sufitu żyrandol i czerwone światło oświetliło drewniane kobiety, wydekoltowane, podobne do tamtych w ogrodzie.

– Moje galiony – powiedział, jakby przedstawiał córki.

Stół zrobiono z koła sterowego przykrytego szybą, z wielkimi zębami u góry.

– To zęby kaszalota.

Czarna kanapa, a obok dwa fotele, jeden skórzany, drugi z wyświechtanego pluszu w kolorze beżowym. Na jednej ze ścian obraz z bitwą morską oraz karawela wielkości leżącego człowieka, z bardzo brudnymi żaglami.

Drzwi były niskie i wąskie, Pablo musiał się schylać, by przez nie przejść. Dom przypominał morską grotę, a korytarze były pełne przedmiotów: ceramicznych marynarzy, skrzyń, okienek z witrażami.

Po lewej stronie korytarza z czarno-białej fotografii uśmiechał się Pablo. Miał minę dzieciaka, który nie może się doczekać, kiedy mu zrobią zdjęcie, żeby mógł zdjąć marynarkę i krawat i pójść się pobawić.

Pokazywał nam rzeczy, jakby czytał podpisy: moja kolekcja szklanych butelek, barek, moje afrykańskie maski. Globus.

– Przywiozłem go z którejś podróży. Celnicy podejrzewali przemyt i zrobili w nim dziurę, o tu, u dołu. – Przykucnął, żeby pokazać, i chrupnęło mu w kolanach. – Myśleli, że przewożę whisky. – Roześmiał się.

Globus stał pośrodku głównego pokoju na pierwszym piętrze. Wzdłuż ścian ciągnęły się tam regały z książkami. Jedne z nich były nowe, inne stare, z wytartymi grzbietami lub w skórzanych oprawkach. Nadawały pomieszczeniu ten cierpki zapach, woń kurzu i papieru, jak w szkolnej bibliotece w Temuco.

– Kto to jest? – zapytałam, wskazując stary portret.

– Bodler – odrzekł Pablo.

Podeszłam bliżej. Na tabliczce u dołu napisano: „Charles Baudelaire”.

Otworzył drzwi kuchenne i wyszliśmy z drugiej strony domu. Znowu zostałam sama, w ogrodzie, koło figur dziobowych. Okno w kuchni było otwarte i usłyszałam, jak Pablo mówi do mamy:

– Gdy wróci pani Delia, wszystko ci... wszystko pani wyjaśni. Gdzie trzyma naczynia i resztę.

– Chodź, Elisa – zawołała mnie mama.

Z kuchni wchodziło się do pokoju i łazienki. Mama położyła walizkę i torby na łóżku pod ścianą. Dla mnie było drugie, pod oknem. Przez okno widziałam ogród, dzwony i drzewa.

– Musimy poszukać młotka; gwoździe już przyniosłam – rzekła.

– Po co?

– Żeby powiesić krzyż i twojego anioła stróża.

4

Można mieszkać w domu, chodzić do szkoły i do kościoła i nagle być tą samą osobą, ale w innym miejscu, w nowym domu, nowym łóżku, z nowym życiem. Może to dziwne, że nie od zawsze mieszkaliśmy w Isla Negra, z Pablem.

Podobała mi się Isla Negra. Ani jeden dzień nie był tu deszczowy. W Temuco zawsze padało. Całe nasze życie w Temuco zdawało mi się teraz jednym długim deszczowym popołudniem.

Isla Negra miała się stać moim domem bardziej niż dom w Temuco, gdzie prawie nikt, oprócz Juany, nas nie odwiedzał. Mama denerwowała się tymi wizytami, jakby ją przyłapano na robieniu czegoś złego. Szła do łazienki i czesała się, malowała sobie usta, zmieniała ręczniki, chowała do szafki majtki, które zwykle wisały na kranach wanny do obeschnięcia, wychodziła, żeby kupić jedzenie. Kiedy nikt nie przychodził, żyliśmy na chybcika, jadałyśmy tylko łyżką albo widelcem, bez serwetek, ze ściereczką kuchenną na stole, tylko we dwie. W Isla Negra było inaczej, jak gdyby Pablo stał się gościem, który na stałe zamieszkał w naszym domu. Tylko że to my byliśmy tutaj gośćmi.

Pierwszego wieczoru mama przygotowała stół dla Pabla: biały obrus, koszyczek na chleb, serwetka pod talerzem, szklanka i sztućce, woda i wino. Usiadł i zawiązał sobie serwetkę na szyi; mama przyniosła mu półmisek z połową pieczonego kurczaka z ziemniakami i cebulą; a potem wróciła do kuchni, żeby zjeść ze mną.

Po chwili wszedł Pablo. Mama jadła udko, trzymając je w ręce, i w tym momencie upuściła je na talerz.

– Czy jest cytryna, Raquel? – zatrzymał się w drzwiach i uśmiechnął do mnie.

Mama zerwała się z miejsca, wzięła cytrynę z miski na owoce, położyła ją na talerzyku i podała Pablowi, nie patrząc na niego. Wrócił do salonu, żeby zjeść w otoczeniu drewnianych syren. Gdyby była tu Delia, jadłby z nią. Jaka ona jest? Po której stronie stołu siada?

5

Musiałymy się przenieść do Isla Negra, ponieważ kiedy zamknięto pasmanterię, mama została bez pracy. Próbowwała się zatrudnić w piekarni, a nawet w sklepie rybnym. Miałam nadzieję, że jej nie przyjmą, bo nie zniosłabym w domu rybiej woni. Mama zawsze przesiąka zapachem rzeczy, wśród których pracuje: kiedy sprząta łazienkę, czuć ją wybielaczem, gdy obiera cebulę – cebulą, a kiedy robi pranie – mydłem, i to jest mój ulubiony zapach.

W dniu, w którym poszła szukać pracy w sklepie rybnym, czekałam na nią z niepokojem. Wróciła smutna, smutniejsza niż poprzednimi razy, i powiedziała: „Spróbujemy czegoś innego”. Zaproponowałam jej herbatę, a ona usiadła, nie zdejmując płaszcza ani butów na obcasie. Zmartwiona wodziła palcem po wzorze na obrusie. Nawet nie poszła do pokoju, żeby się ubrać „po domowemu”, jak to nazywała (w pantofle, sprane spodnie i starą koszulę męską, która być może kiedyś należała do mojego ojca).

– Tato nic ci nie zostawił? – przyszło mi do głowy pytanie.

Pokręciła głową.

W filmach kobiety dziedziczyły po mężach milionerach posiadłości i dostawały ubezpieczenia. Tato nie zostawił nam nic: ani zdjęć, ani pieniędzy. Ja nie miałam po nim nawet wspomnień. Zmarł, kiedy skończyłam zaledwie dwa miesiące.

6

– Co robisz, Eliso?

Pablo wyglądał jak akrobata cyrkowy: miał krótkie, przylegające do nóg spodnie i podkoszulek bez rękawów.

– Nic.

Byłam boso, klęczałam na łóżku i wyglądałam przez okno w naszej części domu. Tę porę dnia lubiłam najbardziej, również w Temuco. Słońce czerwieniało, niebo robiło się mocno różowe, potem fioletowe, a po sekundzie zapadała noc. Zawsze w tym momencie, kiedy fiolet stawał się granatowy i pojawiały się gwiazdy, pogrążałam się w rozmyślaniach. Ale do tej chwili, do granatowego nieba, brakowało jeszcze co najmniej pół godziny.

– Chodź – rzekł. W ręce trzymał czarną chusteczkę.

Poszukałam butów, ale musiały przesunąć się pod łóżko.

Wziął mnie za ręce i przytrzymał przed sobą.

– Nie bój się.

Położył mi chustkę na oczach i zawiązał z tyłu, jak do zabawy w ciuciubabkę.

– Widzisz coś?

– Nie – skłamałam.

– Widzisz, na pewno widzisz.

Zacisnął węzeł mocniej. Zabolały mnie powieki i już nic nie widziałam. Wziął mnie za rękę i wyszliśmy z pokoju.

– Uważaj na schodach.

Poczułam wilgotną trawę, a potem kamienie na dróźce, drażniące podeszwy stóp.

Letni, miękki piasek. Szum fal i krzyk mew, uderzenia skrzydeł. Piasek bardziej wilgotny i twardy, zimny. Coś miękkiego i śliskiego, jak galareta.

– Nadepnęłaś meduzę – wyjaśnił Pablo.

Zapach morza uderzał mnie w twarz jak wiatr. Zatrzymaliśmy się i zaraz fale obmyły mi stopy do kostek. Podniosłam nogę, a potem drugą i roześmiałam się, jakby woda mnie łaskotała. Pablo też się śmiał. Rozwiązał

mi chustkę i oto miałam przed sobą morze w całej okazałości: srebrzyste, białe od piany. Lizało mi stopy jak dobry pies.

– Wykąpiemy się.

Popatrzyłam na kłaczki włosów wystające mu z dekoltu koszulki i przypomniałam sobie, że ciągną się aż na plecy. Oraz tamtą nagą kobietę.

– Trochę mi zimno...

Pochylił się, nabrał wody w dłonie i opryskał mnie, moczając mi sukienkę. Woda była bardzo zimna i przez materiał prześwitywały mi sutki.

Zadarł głowę i wynurzył się z fali nagłym ruchem, jakby stracił równowagę. Ruszył dalej w morze, popłynął, a potem położył się spokojnie na wodzie brzuchem do góry.

Usiadłam na piasku i patrzyłam na niego.

Wyszedł z wody z zaczerwienionymi oczami. Włosy miał przyklejone do czoła jak wodorosty.

Wracaliśmy do domu, trzymając się za ręce, choć już nie miałam zawiązanych oczu. Dłoń Pabla, lodowata, a potem letnia w mojej dłoni, nie pozwalała mi myśleć, tak jak przedtem chusteczka na powiekach. Zanim zdałam sobie z tego sprawę, niebo znowu zrobiło się granatowe. Pełne było gwiazd, małych i wielkich, nigdy ich tylu nie widziałam.

7

Mężczyzna zawiązał jajka w gazetę. Mama włożyła paczkę do koszyka i spostrzegła, że na papierze robi się mokra plama. Jedno jajko musiało się rozgnieść, ale nie poprosiła sprzedawcy, żeby je wymienił.

– A pani Delia? – zapytał. – Dalej w Buenos Aires?

– Tak, jeszcze nie przyjechała.

Odpowiedź padła szybko, podobnie jak pozostałe. Florencio – tak się przedstawił ten wysoki, chudy mężczyzna z rzędem szerniałych, wyszczerbionych zębów – miał wiele pytań: czy mieszkamy w Isla Negra, w domu Nerudy? Skąd jesteśmy? Podoba się nam to miejsce?

„To pani córka, prawda?” I nie dając nam czasu na potwierdzenie, dodał: „Jak dwie krople wody”. „Nie – powiedziałam. – Nie jestem podobna do mamy”. Wydawał się rozbawiony: „A do kogo? Do taty?” „Też nie” – rzekła mama. Dlaczego ludzie uważają, że dwie krople wody są identyczne? Ja nigdy nie widziałam dwóch takich samych kropli.

Mama wkładała do koszyka produkty, jakich nigdy nie kupowała w Temuco: czarne oliwki, dwie butelki wina, ananasa, migdały, dwa awokado. Czytała je z listy, którą Pablo dał jej razem z portmonetką.

Wyjęła pieniądze i zapłaciła. Florencio popatrzył na monety i kazał jej jedną wymienić. „Jest zagraniczna, niech się pani przyjrzy”.

Pożegnałyśmy się i wyszłyśmy ze sklepu. Zrobiliśmy kilka kroków i mama na parę sekund postawiła koszyk na zakurzonej ulicy, żeby zebrać siły.

– Powinnyśmy były skorzystać z okazji i obejrzeć miasteczko wcześniej. Teraz, z tym koszykiem... – odezwałam się.

– Co chcesz oglądać? Wszystko jest tu, na tej ulicy.

Obejrzałam się za siebie. Dalej, za sklepem, znajdowała się szkoła, do której pójdę, gdy zaczną się lekcje, za nią białe domki i wieża kościelna. A z przodu gospoda Santa Clara. Pablo często tam chodził. „Idę do gospody” – oznajmiał.

Był także klub, tak jak w Temuco. Przy wejściu wystawiono stare meble, jakiś chłopak ostukiwał krzesło. Kiedy przechodziłyśmy, przestał stukać

i pozdrowił mnie: „Cześć” – powiedział bezgłośnie, poruszając ustami. Mama nie widziała.

Na drzwiach wywieszono afisz z napisem: „Wyprzedaż. Piąta po południu”.

– Chodźmy do kościoła – zaproponowała mama.

Kościół okazał się mniejszy niż w Temuco. W chrzcielnicy była woda; zamoczyłam palce i zrobiłam sobie krzyżyk na czole, tak jak mama. Usiadłyśmy w ostatniej ławce, a potem uklękłyśmy. Było stąd widać całe wnętrze: po lewej wielka szopka, większa od ołtarza, z Maryją mojego wzrostu i Dzieciątkiem Jezus wielkości normalnego niemowlęcia. Na ołtarzu drewniany Chrystus, a trochę niżej Maryja Dziewica w niebieskim płaszczu.

– Pomyśl sobie trzy życzenia – rzekła mama. – Kiedy po raz pierwszy wchodzisz do jakiegoś kościoła, możesz poprosić o trzy rzeczy.

Splotła mocno dłonie i zacisnęła powieki.

Jakie były jej trzy życzenia? Zdawało się, że nigdy niczego nie pragnęła. W przeciwieństwie do mnie – w mojej głowie kotłowały się obrazy: chłopak, który popatrzył na mnie spod drzwi klubu, plaża, Pablo. „Żebym była szczęśliwa w Isla Negra” – poprosiłam trzy razy. Ponownie spojrzałam na mamę i zmieniłam swoje trzecie życzenie: „Żeby mama była szczęśliwa”. Ale wiedziałam, że to niemożliwe. Niektórzy ludzie nie są stworzeni do tego, żeby odczuwać szczęście.

A jednak kiedy wyszłyśmy z kościoła, mama się uśmiechnęła.

– To dalej, ale możemy pójść brzegiem – rzekła.

Słońce przesunęło się nieco na niebie w ciągu tych kilku minut i teraz miałyśmy je z boku. Szłyśmy wzdłuż umocowanej na skałach balustrady. W dole rozciągała się plaża: piasek, przejrzyste morze. Naprzeciw falom zmierzała jakaś kobieta. Miała biały strój kąpielowy i szerokie biodra. Wydawało mi się, że to ta sama osoba, którą Pablo sprowadził do swojego pokoju, ale woda zakrywała jej nogi i nie mogłam dojrzeć plamy na łydce.

Było gorąco, moje ramiona już miały zapach przypiekanego ciała, jaki przyjmuje skóra wystawiona na słońce w lecie. Dotknęłam się pod pachą i powąchałam sobie rękę, a usta wypełnił mi smak surowej cebuli. W oddali widać było dom Pabla. Patrzyłam na niego z dumą, jakby należał do mnie. A bliżej, na brzegu, spoczywał zaryty w ziemi statek. Odbijał się w zwierciadle wody, które fale utworzyły na piasku, i rzucał cień na morze. Przez okna wchodziło i wychodziło dwoje dzieci z psem. Kadłub zapewne

tkwił tam już od dłuższego czasu, zrobił się pomarańczowy od rdzy. Przez jedno z okien wleciał do środka ptak i więcej się nie pojawił.

8

Pablo schodzi po kamiennych schodach. Ma na sobie swoją czapkę, koszulę z krótkimi rękawami, w ręce gładki zeszyt, bez linii, na spirali, o którą zaczepił długopis z zielonym wkładem. W lewej ręce trzyma fajkę i paczkę tytoniu. Siada twarzą zwrócony ku morzu, chociaż nie będzie na nie patrzył podczas pisania. Otwiera zeszyt, wkłada rękę do kieszeni i po chwili stawia na nim jeden z tych ciężkich szklanych przycisków do papieru z zasuszonymi kwiatami w środku, żeby kartki się nie przewracały. Odczepia długopis ze spiralki i kładzie go obok zeszytu, po czym przygotowuje sobie fajkę.

W pokoju nadal unosi się zapach tytoniu. Na stojącym pod oknem biurku jest więcej szklanych przycisków do papieru i kartek zapisanych zielonym tuszem.

Układam je w stosik i przyciskam szkłem z zatopionym konikiem morskim. Ale zaraz je podnoszę i z powrotem rozkładam papiery, porzucając je w nieładzie.

Kolce były dla mnie udręką,
twarde kamienie raniły mi głowę,
lód szukał pod moimi łachmanami
serca, by mu zaśpiewać do snu.
Śmiechy, które zrodziły się
na moich oczach, cichły pośpiesznie
i chciały mnie zabić.
Wtem drzewo przegrodziło mi drogę,
jakby ruszyło marszem i w tym momencie
powaliła je
puszcza, i leżało tam
wielkie niczym tysiąc ludzi,
pełne czupryn,
rojące się od owadów,
rozkładające się na deszczu,

ale odkąd umarło,
chciało mnie powstrzymać.

Za dużo słów. To można było napisać tylko w nocy: nikomu nie przychodzi na myśl tyle słów naraz, kiedy się obudzi.

Chu-Tuh wyciągnął się pod stołem, jakby Pablo pisał na głos, dla niego.

Kieruję się w stronę łóżka z wilgotną, zburzoną pościelą. Wdycham jej zapach, ale tamta woń nie powraca; tylko duża wilgotna plama, którą czuć siarką, jak te żółte pałeczki, których mama używa na skurcze.

Chowam jego piżamę do szafy, niebieską, bardzo miękką piżamę w paski, która wyschła szybciej niż pościel i też pachnie siarką. Po drugiej stronie wiszą sukienki. Sukienki Delii: jedna czarna, długa, z szerokimi rękawami; kolejna szara, ze wstążką na szyję; inna w kolorze burgunda w kwiatuszki; spódnica w szaro-białe kwadraty; kilka białych koszul i luźne spodnie. Biorę z wieszaka ciemnoczerwoną suknię i podchodzę w niej do owalnego lustra, lecz górna część ubrania wybrzusza się na moim ciele, a dół wlecze się po podłodze. Na dole szafy stoją buty: czarne, bez obcasów, z obcasem, zamszowe i skórzane, sznurowane botki. Na górnej półce okrągłe pudełka, a w nich – słomkowy kapelusz, czarny kapelusik i drugi szary.

Pościel już wyschła. Muszę ją tylko rozciągnąć w jedną i drugą stronę, przetrzepać poduszki, rozłożyć narzutę i pod dwiema poduszkami zrobić zakładkę, jak mi pokazała mama.

Na stole na podwórku kartki w zeszytach walczą z przyciskiem do papieru. Długopis stoczył się na brzeg stołu, a obok zeszytu leży fajka.

– Co dziś na obiad, Raquel?

Głos Pabla rozbrzmiewa we wnętrzu domu. Pablo zagląda do garnków. Rozlega się hałas, od którego drżą ściany i dzwonią kruche przedmioty.

Odwieszam na miejsce suknię Delii i jeszcze raz spoglądam w lustro, owal, w którym dokładnie mieści się moje ciało. Przeczesuję włosy dłonią i schodzę po schodach.

Mieszkamy w tym domu we troje i jesteśmy jak rodzina. Delia jeszcze nie przyjechała.

9

Usłyszałam podjeżdżające auto i obudziłam się. Była sobota, mama w soboty pozwalała mi spać do późna, jak w Temuco. „Delia” – pomyślałam. Zdjęłam koszulę nocną i włożyłam białą sukienkę. Umyłam sobie szybko zęby i twarz.

Szofer podał jej rękę, gdy wysiadała. Pablo miał na sobie niebieską koszulę, której dotąd nie widziałam.

Delia rzuciła mu się na szyję, a on zakręcił nią w powietrzu. Pocałowali się jak w filmach.

Delia. Beżowa spódnica, długa i prosta, biała bluzka, czarne buty z białą kokardką. Włosy. Ciemne, lśniące w słońcu, przycięte na wysokości żuchwy. Żadna znana mi kobieta nie nosiła takiej fryzury. Tylko aktorki w filmach. Oczy pomalowane na czarno, czerwone usta.

– Delio, to jest Elisa. Eliso, oto Delia.

Delia uwolniła się z jego objęć, pochyliła się, jakbym była od niej znacznie niższa, i pocałowała mnie. Jej perfumy.

– Cześć, Eliso.

– Cześć.

Stałam jak wryta, nieruchomo, podczas gdy oni ruszyli do domu. Niema scena: nawet wcześniej, kiedy rozmawiali, nie słyszałam ich. Dopiero kiedy zniknęli za drzwiami, świat odzyskał swe dźwięki: oddalające się auto, szczekający Chu-Tuh, wysokie, palące słońce.

10

Szklanka z wodą błyszczała w ręce mamy jak lustro, skupiając światło.

– Dziękuję, Raquel – powiedziała Delia. Uśmiechnęła się i twarz się jej zmieniła. Wydawała się inna. Nie wiedziałam, która podoba mi się bardziej.

Mama trzymała spodek, na którym postawiła szklankę. Patrzyła na nią: na buty, na sposób, w jaki Delia skrzyżowała nogi, siadając. Zaraz potem poszła do kuchni, jakby zapomniała o czymś zostawionym na ogniu.

Delia siedziała na skraju kanapy. Pablo przyciągnął ją do siebie i pocałował. Był to pocałunek niezręczny, nerwowy. Delii się spodobał. Jej długie ramię otoczyło jego szyję.

– Mam prezent. – Zerwała się z miejsca. – Eliso, przyniesiesz mi torbę? Raquel zabrała ją do pokoju na górze.

Podobało mi się, jak w jej ustach zabrzmiały imiona moje i mamy. Podobał mi się sposób, w jaki mówiła, akcentując inne sylaby. Tak się pewnie mówi w Buenos Aires.

– Radio – powiedział Pablo. Oczy mu zajaśniały.

Delia pokręciła głową. Rozległy się dźwięki, jakby ktoś tarł jakąś szorstką powierzchnię, ale zaraz potem zabrzmiała muzyka. Melodia była trochę smutna, a jednak nas rozweseliła. Wywoływała chęć zakręcenia się w białej sukience z bardzo szeroką spódnicą.

Odsunęła zasłony i wpuściła więcej światła. Pablo bębnił palcami na podłokietniku kanapy.

– Swing – powiedziała Delia. – Do tańca. – I spróbowała go nakłonić, by wstał, lecz on się opierał.

– Hormiguita², wiesz przecież, że nie tańczę.

– W takim razie my zatańczymy, Eliso.

Złapała mnie za ręce i zawirowaliśmy przy muzyce. Kiedy zakręciło mi się w głowie, położyła dłonie na moich biodrach, żeby zmienić kierunek.

Piosenka się skończyła. Spiker wymienił jej tytuł oraz nazwisko kompozytora, po angielsku.

– Będziesz dobrą tancerką – oznajmiła Delia i usiadła z powrotem obok

Pabla. Oparła głowę na jego ramieniu. Zrzuciła buty, pocierając jedną stopą o drugą. Miała bardzo długie, szczupłe stopy, z paznokciami pomalowanymi na czerwono.

11

Ile mogła mieć lat? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Nosiła kwieciste szorty, których nie widziałam przedtem w jej szafie. Patrzyłam na jej nogi, na pomarszczone kolana. Wszystkie te lata, które ukradła starości, poszły w kolana.

– Eliso, chcesz iść ze mną do gospody, żeby kupić ciasto?

Mama weszła do salonu i spojrzała na to samo co ja: na szorty Delii, jej nogi. A potem na mnie. Wolałabym, żeby nie widziała, jak wychodzę z Delią.

– Raquel, zabieram Elisę do miasteczka, żeby mi pomogła wybrać ciasto – powiedziała. – Przyjechała reszta mojego bagażu i przybory malarskie. – Wskazała walizkę, wielkie zwoje owinięte w papier pakowy, metalową skrzynię. – Zostaw wszystko na razie tutaj, potem zobaczymy, gdzie to położyć.

– Widziałaś statek?

– Tak – odpowiedziałam, spoglądając na zardzewiały kadłub. – Od dawna tam jest?

– Nie wiem.

Wiatr co chwila przynosił mi zapach perfum Delii, które czasem mieszały się z wonią morza.

Koło statku leżały kawałki żelaza. Wyglądał jak ranne zwierzę, które przywlekło się na brzeg, gubiąc po drodze kości.

– Podróżowała pani kiedyś statkiem? – spytałam.

– Tak. Co roku pływaliśmy statkiem do Europy, przeprawa trwała kilka miesięcy. Podczas podróży zdechła moja ulubiona krówka. – Nagle posmutniała, jak dziewczynka, której umarło ukochane zwierzątko. – To moje najsmutniejsze wspomnienie, musiałam zejść ze statku i zostawić ją tam. Nie mogłam jej pochować.

Obok nas przejechał na rowerze jakiś chłopak. Zwolnił, kiedy nas mijał. Ciemne włosy opadały mu na oczy. Odwrócił głowę, żeby nie stracić mnie z oczu, i wystraszyłam się, że upadnie.

– Znasz go? – zapytała Delia.

– Nie.

To był ten sam chłopak, który mnie pozdrowił na wyprzedazy mebli w klubie; ten, który ostukiwał krzesło.

Jakiś mężczyzna uchylił kapelusza, żeby pozdrowić Delię.

– Kto to jest? – spytałam.

Delia uśmiechnęła się.

– Nie znam go.

Szłyśmy dalej i uśmiech znikł z jej twarzy.

– Już niedługo będę niewidzialna – rzekła.

– Niewidzialna?

– Tak, kiedy osiągasz pewien wiek, nikt już na ciebie nie patrzy.

Drzwi otworzyły się z brzękiem dzwoneczków i za ladą pojawiła się wysoka kobieta w fartuchu.

– Dzień dobry.

W lodówce o przeszklonych drzwiach pyszniły się ciasta: truskawkowe, cytrynowe, czekoladowe, z bezą.

– Które lubisz? – spytała mnie Delia.

– Wszystkie oprócz bezy.

– Ja też nie przepadam za bezą.

Odwróciłyśmy się w stronę kobiety. Malowała sobie usta przed lusterkiem.

– Już panie wybrały? – Schowała lusterko.

– Czarny las – powiedziała Delia.

Kobieta podeszła do lodówki i wróciła z ciastem czekoladowym. Pasek fartucha trochę za mocno ścisnął ją w pasie, a piersi rozchyłały dekolt bluzki. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to nie tamta naga kobieta, ale nie miała plamy na łydce.

Delia wyjęła z portfela banknot. Kobieta obsługiwała kasę fiskalną, jakby to był samochód i chciała nam pokazać, że potrafi prowadzić.

– Bardzo dziękuję. Do zobaczenia.

Już byłyśmy w drzwiach, gdy zapytała:

– Pani to pewnie Delia, prawda?

– Tak.

– Ja jestem Blanca. Miło mi.

– Jeśli ciasto nam posmakuje, będziemy przychodzić częściej.

12

I to ja ją wiodłem wierząc,
Że jest dziewczyną, nad rzekę,
A ona miała już męża.

Ta noc świętojakubowa
Nie ustępowała jeszcze.
Pogasły wszystkie latarnie
I jęły żarzyć się świerszcze.

Gdzieś u ostatnich zaułków
Śpiących jej piersi dotknąłem.
I wychyliły się nagle
Jak bukiety hiacyntowe³.

Jedna z dziewcząt otworzyła usta i zamknęła je, nic nie mówiąc. Pablo stał pośrodku sali z książką w jednej ręce i fajką w drugiej. Czytał głosem pełnym emocji, powoli, bardzo powoli.

Patrzyli na niego dwaj młodzieńcy i jeden mężczyzna o ułożonych na żelu włosach, ale przede wszystkim patrzyły one, dziewczyny, którym spódnice nie zakrywały cienkich kostek. Miały włosy zebrane i upięte wysoko nad czołem. Pablo nie napisał tych wierszy ani nie były one dedykowane zgromadzonemu osobom, ale jego głos sprawiał przeciwne wrażenie.

W szkole w Temuco uczyłam się wierszy o księżycu, o burzy, wierszy o matce, ojczyźnie i o przyjaźni. Żaden z nich nie zachwycił mnie tak bardzo jak ten, który teraz czytał Pablo, choć nie podobał mi się jego głos, inny od tego, którym posługiwał się, kiedy mówił. Ręka z fajką kreśliła w powietrzu kręgi, jakby był dyrygentem orkiestry i słuchaczy, swoich muzyków.

Taca z cukiernicą i filiżankami kawy zaczynała mi ciążyć, ale nie odważyłam się rozstawić ich wśród gości z obawy, by nie przeszkadzać. Zawróciłam, żeby zapytać mamę, ale zamiast niej zobaczyłam tylko Delię.

Miała taki makijaż jak w dniu swojego przyjazdu. I wtedy, mimo że Pablo wciąż czytał, spojrzenia obecnych zwróciły się na nią.

– „Pomyliła się gołąbka, / ciągle się myliła. / Północ brała za południe, / a zboże za wodę brała. / Ciągle się myliła...”

Delia podeszła do mnie i wyszeptała mi do ucha: „Za bluzkę twoją spódnice, / serce twe za dom swój wzięła. / Tak się pomyliła⁴”, zanim Pablo swoim powolnym głosem dokończył czytanie.

– To z Rafaela Albertiego. To on nas ze sobą poznał, w Madrycie. Tyle się słyszało o Nerudzie i pewnego dnia pojawił się w Piwiarni Pocztovej⁵, i Alberti nas sobie przedstawił. Pablo podszedł do mnie, usiadł obok, położył mi rękę na ramieniu i już nigdy jej stamtąd nie zabrał.

Pablo skończył czytać i zebrani nagrodzili go brawami. Usiadł w fotelu i zaczął na nowo nabijać fajkę.

Delia i ja podałyśmy kawę i cukier. Poza tym byłam niewidoczna, mogłam się przyglądać do woli.

– Najbardziej mi się podoba ten o niewiernej mężatce, sam początek. Podoba mi się: „I to ja ją wiodłem wierząc, / Że jest dziewczyną, nad rzekę” – powiedziała jedna z dziewczyn, ta ładniejsza.

Pablo spojrzał na nią z zadowoleniem. Popatrzył na jej kostki u nóg. Delia przedstawiła ją, kiedy przybyły: „To Julia, córka Gutiérrzezów. Chce zostać pisarką”.

– Poeci w rzeczywistości dzielą się na dwie grupy: grubych i chudych. Federico i Rafael są grubi, jak ja. Chociaż ja też byłem chudy i posępny, w młodości. Ubierałem się na czarno jak nietoperz.

Spojrzał na jedną z dziewczyn, która siedziała zasłuchana. Widziałam, jak podczas niektórych partii wierszy poruszała ustami, jakby je znała i odtwarzała z pamięci.

– Ty, Jorge, nie jesteś gruby. Ale piszesz z dużą rozwagą. Masz tylko jeden problem: twoje nazwisko. Być chilijskim pisarzem i nazywać się Edwards to bardzo trudna sprawa.

Pozostali się roześmiali.

– A teraz dość już kawy.

Stanął za barem i zaczął wlewać różne napoje do brzuchatego dzbana. Mieszał je drewnianą łyżką.

Delia przyniosła mu na tacy niebiesko-zielone szklaneczki, które trzymaliśmy w kredensie. Pablo nalał do nich przygotowany napój, a ona

rozdała gościom szklaneczki i pozbierała filiżanki po kawie.

Wszyscy zebrani chcieli zostać artystami. Byli tak piękni, ale zmieniali się, żeby wyglądać na bardziej wrażliwych i inteligentnych, starali się zaskoczyć Nerudę, wielkiego poetę, zdobywcę Narodowej Nagrody Literackiej, autora *Rzeczy o zmierzchu*, *Dwudziestu wierszy o miłości i jednej pieśni rozpachy* oraz *Pobytu na ziemi* – książek, które znajdowały się w bibliotece i których jeszcze nie czytałam.

Pablo odprowadził ich aż na drogę. Widziałam z daleka, jak zegnał się z Julią, gładząc ją po włosach.

13

Delia wydawała się nieco podobna do dziewcząt, które przychodziły posłuchać Nerudy, choć sama nie pisała. Ani mama, ani ja nie chcieliśmy zostać artystkami. Ja chciałam się zakochać, chciałam, żeby ktoś pokochał mnie, chciałam nie być biedna. Nie wiedziałam, czego chce mama. Może po prostu każda z nas chciała czegoś innego niż to, co miała.

Wcześniej w tym samym pokoju, rano, Delia rozstawiła sztalugi. Miała na sobie bardzo szeroką białą bluzkę z podwiniętymi rękawami i plamami pomarańczowej farby, a do tego swoje kwieciste szorty. Była boso. Ona też przebierała się za malarzkę. Gdy Pablo wyszedł do ogrodu, by pisać, twarzą zwrócony ku morzu, ona stanęła przed sztalugami i rozpięła białe płótno na ramie.

Lubiłam zapach farb Delii, przypominający aromat lakieru do paznokci, który miała w swojej łazience. Ale bardziej podobał mi się zapach terpentyny, którą czyściła pędzle. Woń smoły drzewnej.

Malowała zamaszystymi ruchami ramienia. Patrzyłam, jak zbliża się i odsuwa od płótna z paletą w ręce, mieszając kolory. Obrazy przedstawiające konie znajdowały się w szopie na narzędzia, na tyłach ogrodu. Trzymała tam też akwarele, pastele, płótna i papiery. Konie malowała na papierze, tuszem. Wyjmowałam buteleczki, żeby powąchać tusz: ten sam zapach, jakim było czuć nowe książki, które przywoziła dla Pabla z Buenos Aires.

Lubiłam patrzeć, jak maluje, ale jeszcze bardziej podobało mi się, gdy przygotowywała płótna. Rozwijala dużą białą belę i cięła materiał na kwadraty lub prostokąty. Pomagałam jej płukać je w wannie, w zimnej wodzie, żeby nabrały sztywności. Następnie rozwieszałyśmy je na sznurze do wyschnięcia. Te wiszące na słońcu białe kawałki materiału były ładniejsze od jej prac.

Pewnego razu zrobiła serię obrazów z pogniecionego płótna.

– Dlaczego płótno jest pogniecione? – spytał Pablo.

– To nowa technika – odpowiedziała.

– Bzdura. Wymyślona po to, żeby ich nie prasować.

Delia malowała konie lub grupy postaci ludzkich. Mogli to być ludzie albo cokolwiek innego. Na tym polegała różnica między jej obrazami a wierszami, które czytał Pablo. Nie było innych słów na wyrażenie tego, o czym mówiły te wiersze, niezwykle i proste zarazem. Nie znałam jeszcze miłości ani zapomnienia, ale rozumiałam, że miłość jest krótka, a zapomnienie długie, jak w wierszu Nerudy. Postacie Delii nie mówiły mi nic.

Dlaczego potrzebowała malowania, skoro wiedziała, jak żyć, skoro uczyniła ze swojego życia sztukę? Wiedziała, jak się poruszać, rozmawiać, śmiać się. Umiała wybrać muzykę, ubranie i kwiaty. Patrzyłam na mocno skupioną twarz Delii, tak odmienną od znanego mi zagubionego spojrzenia, z jakim paliła, oparta o framugę drzwi w progu domu, patrząc na morze, z zapomnianym papierosem w dłoni, o którym przypominała sobie, dopiero gdy opadał już popiół.

Wszedł Pablo i stanął obok Delii przed obrazem.

– Barbaryzujesz, Hormiguita? Jak to nazwiesz?

– Jeszcze nie wiem – odrzekła, jakby opinia Pabla nie miała dla niej znaczenia. A tak naprawdę bardzo się liczyła. W rzeczywistości Delia malowała dla niego. Może dlatego jej obrazy nie były ładne. Wiedziałam, że nie są. Delia malowała dla Pabla, ale uważała, że robi to dla siebie. Pablo pisał dla siebie, dla wszystkich, dla nikogo.

– Nie wiesz, jak to nazwać ani dlaczego to robisz – powiedział z uśmiechem. – Sztuka jest groźnym płynem.

Zastanowiłam się, czy cytuje kolejny wiersz.

– Popatrz na morze. – Wskazał okno, przez które morze wyglądało, jakby zaraz miało się wlać do pokoju. Delia wciąż malowała, jakby go nie słuchała, ale miała zmarszczone brwi. – Wchodzisz do niego, kąpiesz się przez chwilę, nawet nie zdajesz sobie z tego sprawy, że pozwalasz, by woda dostała ci się do porów w skórze, wychodzisz, wysychasz w słońcu, a jakaś część morza zostaje w twoim wnętrzu. Inni z kolei zanurzają się w sztuce jak torebki herbaty. Widziałas, co się z nimi dzieje, kiedy za długo zostawisz je w wodzie? Pęcznieją, psują się i nie jest to już ani woda, ani herbata.

Delia chciała coś powiedzieć, ale on objął ją nagle i paleta upadła na podłogę.

Zostawiłam ich całujących się i poszłam do kuchni. Mama stała pochylona nad zlewem i jadła ręką resztki, które zostały z ciasta czekoladowego.

14

Należy odkurzać książki, ale nigdy nie wolno zmieniać ich miejsca – wyjaśnił mi Pablo. Muszą zostać tam, gdzie zawsze – nowe obok starych, różnej grubości grzbietów i różnej wielkości, w porządku alfabetycznym.

Jedna książka upadła i Delia ją podniosła. Wyleciała luźna kartka. Delia przeczytała ją i odłożyła na miejsce.

Odczekałam, aż wyjdzie, i otworzyłam książkę tam, gdzie znajdowała się tamta kartka. Książka była napisana po angielsku, ale kartka nie – rozpoznałam pismo Pabla i jego zielony tusz.

„– Oziębła kobieta nigdy nie bywa zazdrosna. Po prostu nie zakosztowałaś dotychczas zwyczajnych ludzkich uczuć.

– Może masz rację. Mówię tylko, że chcę, abyś ty był szczęśliwy. Nie mam ci za złe niczego, co cię uszczęśliwia.

– Szukasz jedynie wymówki. Jeśli prześpię się z kim innym, będziesz się czuła uprawniona do zrobienia tego samego, kiedy ci tylko przyjdzie ochota.

– Nie o to chodzi. Chcę, żebyś był szczęśliwy, to wszystko.

– Usłalabyś mi łóżko dla innej?

– Może”⁶.

The End of the Affair Grahama Greene’a. Graham to zapewne imię męskie. Żadna kobieta nie napisałaby takiego dialogu.

Poszłam po słownik. Wszystkie stały na pierwszym regale, różnojęzyczne. Poszukałam wydania Hiszpańskiej Królewskiej Akademii. „Oziębła – cechująca się oziębłością (brakiem pociągu seksualnego bądź radości odczuwanej z seksu)”.

Było to tak, jakbym się dowiedziała o istnieniu innej planety, zamieszkaanej częściowo przez ludzi.

Zostawiłam miotełkę do kurzu i zesłam po schodach. Delia spoglądała na plażę. Odwróciła się.

– Jutro pomożesz mi się ufarbować, Eliso.

Pochyliła głowę i pokazała mi swoje włosy. Centymetr ich długości, tuż przy skórze, był biały. Nigdy nie zwróciłam na to uwagi. Delia miała oczy

zamglone, jakby myślała o czym innym, nie o białych odrostach na głowie.

Zostałam tam i patrzyłam, jak schodzi na plażę. Szła zwawym krokiem, wyprostowana, nie niosąc nic w rękach. Jak łyżwiarka.

Widziałam raz przedstawienie z łyżwiarkami w cyrku, który przyjechał do Temuco. Na obrzeżu miasta rozstawiono duży kolorowy namiot. Z cyrku zapamiętałam woń słoni, przerażenie, jakim mnie napawali klauni, oraz łyżwiarki. Ślizgały się na lodowej tafli tak lekko i elegancko. Tak samo przesuwała się Delia po ulicy i przez życie, mając przy sobie możliwie jak najmniej bagażu. Mama i ja wręcz przeciwnie, przybyłyśmy do Isla Negra obładowane manelami. Nie umiałybyśmy pójść na plażę czy do miasteczka bez torby w ręce. Nie rozpoznałabym mamy na ulicy bez torebki, zawsze miała ją ze sobą, podobnie jak swoje chude nogi czy cienkie usta. By się gdzieś zadomowić, musiałyśmy obciążyć się jakimś ładunkiem. Delia nie. To, czego potrzebowała, miała na sobie: zamierzała zdjąć sukienkę, więc pod spodem była ubrana w czarny strój kąpielowy. Zostawiła sukienkę obok butów na piasku, weszła do morza i ruszyła wzdłuż plaży, być może aż do statku. Wróciła sucha i złocista, ubrała się i włożyła buty, po czym przyszła do domu akurat na posiłek.

15

W Isla Negra od jakiegoś czasu padało. Mama przesypiała sjęstę. Kiedy byłam mała, w lecie zmuszała mnie, żebym się kładła podczas sjęsty. Leżałam na plecach, słuchając tykania zegara i patrząc w sufit; nigdy nie dotrwałam do piątej.

Teraz siedziałam w kuchni z głową opartą na ramionach, przy stole, który trochę było czuć wybielaczem. Kładąc ucho na blacie, lepiej się słyszało szum deszczu, miękko opadającego na ziemię, a twardo na kamienną drogę. Gdzie się podział Chu-Tuh? Psy nie mają problemu z tym, że zmokną, to koty nie znoszą wody.

Ostrożnie otworzyłam drzwi naszej części domu. Mama spała nieprzykryta, mimo że deszcz przyniósł z sobą nieco chłodu. Podeszłam bliżej. Leżała na lewym boku, ze złączonymi nogami i rękami wetkniętymi między uda. Miała trochę włosów na łydkach, opalonych od kostek do kolan, ponieważ nigdy nie wkładała kostiumu kąpielowego. Mówiła, że nie lubi morza. Ale tak naprawdę nie lubiła swojego ciała.

Miała pieprzyki na dekolcie – tam, gdzie czasami docierało słońce, i na ramionach. Rozpuściła sobie włosy, spinka leżała na poduszce. Przyjrzałam się im bliżej – były całe ciemne, bez odrostów, ale z trzema pasemkami siwizny, których do tej pory nie widziałam. Drżały jej powieki. Coś jej się śni, pomyślałam. O czym śniła mama?

Położyłam się na łóżku w tej samej pozycji co ona, nie zdejmując butów.

Deszcz się nasilił, krople bębniły o szyby. Przez żaluzje sączyły się smugi światła i padały promieniami na podłogę i pościel.

– Co robisz? – zapytała mama, otwierając oczy.

– Próbuję spać, ale nie mogę.

– Która godzina?

Popatrzyłyśmy na zegar wiszący nad nocnym stolikiem – czwarta. Pomyślałam, że powie: „Prześpijmy się jeszcze trochę”, lecz ona rzekła:

– Możemy wyrobić ciasto na chleb.

Poszłyśmy do kuchni, która teraz wydawała się jaśniejsza w porównaniu

z półmrokiem pokoju.

Mama wyjęła z lodówki plastikową paczkę z czerwonym napisem: drożdże. Otworzyła słój z mąką i wysypała zawartość prosto na stół.

Mnie dała dzbanek z wodą.

– Będiesz dolewać po trochu wody, podczas gdy ja będę zagniatać.

Nagarniała mąkę na drożdże i wodę ruchami podobnymi do fal.

Potem robiłyśmy bułki wielkości pomarańczy. Rozprowadziła na blasze oliwę i wstawiła je do piekarnika. Jedną zostawiłam dla siebie.

Przestało padać. Wyszłam z domu i z surowym ciastem w rękach usiadłam na progu zwróconym w stronę plaży. Podniosłam ciasto do nosa. Zapach był kwaskowaty i mdły, uderzał do głowy. Taki sam jak tamten w ciemnym pokoju Pabla po tym, jak on i kobieta z płamą na łydce zasnęli na posłaniu.

16

Nie, w rzeczywistości nie poznali się w Piwiarni Pocztovej, tylko w domu Rafaela Albertiego. Pewnego popołudnia Pablo zapukał do drzwi, a Delia, ubrana w dwuczęściowy niebieski kostium i buty na wysokim obcasie, podeszła nieśpiesznie do furtki.

Pablo miał na głowie śmieszny kapelusz i uniósł go, żeby się przywitać.

– Dzień dobry, szukam Rafaela Albertiego. Jestem Pablo Neruda.

– Wiem – odpowiedziała Delia. – Rafaela nie ma w domu, ale jestem ja.

Otworzyła, wzięła go pod ramię i zaprowadziła do wnętrza. Wskazała mu jeden z foteli, a sama usiadła na drugim, naprzeciw niego.

Pablo rozglądał się po kątach i błądził wzrokiem po meblach, żeby uniknąć jej spojrzenia, a ona najwyraźniej nie kwapiła się do rozpoczęcia jakiegokolwiek rozmowy ani mu nic nie zaproponowała. Wstała i podeszła do barku. Była piąta po południu. Pablo myślał, że poda mu whisky albo sherry, albo tę anyżówkę z Chinchón, która mu tak smakowała, ale Delia wzięła papierosy, zapalniczkę i ustnik, po czym wróciła na swoje miejsce. Kiedy siadała, spódnica nieco się jej uniosła, lecz ona jej nie poprawiła. Założyła nogę na nogę i uparcie wpatrywała się w Pabla. Przede wszystkim wpatrywała się w jego białe buty. Pablo też na nie zerknął – były nieskazitelnie czyste.

Delia skończyła palić, znów się podniosła, nadepnęła mu na końce białych butów i zaprowadziła go za rękę do swojego pokoju.

Spojrzała na mnie w lustrze. Brwi i włosy miała posmarowane zieloną pastą, a w ustach lufkę. Mogła równie dobrze zmyślić to spotkanie w Madrycie, nie sprzeciwiłabym się jej.

Moje palce przestały się poruszać w jej włosach. Opary amoniaku z farby piekły mnie w oczy.

– Zamknij drzwi, Eliso. Mężczyźni wolą nie wiedzieć, że się farbujemy.

Zdjęłam rękawiczki i napiłyśmy się herbaty oraz zjadłyśmy grzanki z awokado, które wcześniej przyniosłam na tacy. Delia wyglądała zabawnie

z ręcznikiem na ramionach, zielonymi włosami i cienkimi palcami unoszącymi filiżankę do ust.

– Widzisz ten statek?

Wskazała stojący na półce model z białymi żaglami. Zawsze mi się podobał.

– Zamówił go u mnie Pablo. Kupiłam w Barcelonie. Do dziś pamiętam, co napisał w liście: „Obyśmy znowu byli razem. Po raz pierwszy obciąłem sobie sam paznokcie. Chcę też, żebyś mi kupiła stateczek, potrzebuję go pilnie...”. Ach! Już mnie szczypie.

Poszłam z nią do łazienki. Pochyliła głowę nad wanną. Zielona powłoka rozpuściła się, a pod wodą ukazały jej ciemne kosmyki.

Wytarła sobie włosy ręcznikiem i natychmiast zrobiły się na nich loki.

– Nikt mnie nie rozpozna z takimi włosami. – Roześmiała się.

Ucieszyłam się, że ma kręcone włosy, takie jak ja. Ale niedługo to trwało: pokazała mi, jak je czesze, rozdzielając na małe pasemka, które przytrzymywała na głowie spinkami, a następnie suszyłyśmy włosy suszarką, rozprostowując je na szczotce.

– Pociągnij mocniej, nie bój się – mówiła.

Na apteczce trzymała różne słoiczki z kremami. „Krem pani doktor Aslán”, głosiły napisy na etykietach.

– Ach, magiczne kremy na wieczną młodość. – Otworzyła słoiczek i podsunęła mi pod nos. Pachniało gliną. – Nakładam je na twarz na noc, ale nie, kiedy jestem z Pablem.

Pomalowała sobie usta – pociągnęła ciemnym ołówkiem kontury, a resztę uzupełniła szminką, po czym zacisnęła wargi.

– Żeby tak nie błyszczały – wyjaśniła. – Nie podoba mi się połysk ani na ustach, ani na ubraniu.

Następnie czarnym ołówkiem podkreśliła krawędzie rzęs.

Pablo czytał dziennik na kanapie w salonie. Spojrzał na nią, kiedy schodziła ze schodów. Delia odcisnęła mu na twarzy ślad szminki, który został tam do wieczora.

– Eliso. Eliso.

Głos Pabla docierał do mnie przez sufit. Nie dobiegał z jego pokoju ani z biblioteki, tylko z pomieszczenia, które zawsze było zamknięte na klucz.

Weszłam na górę. Teraz drzwi były otwarte. Stał tutaj regał z olbrzymimi muszlami, kolejne znajdowały się w kartonowych pudłach, a także na podłodze obok butelek różnych kolorów i rozmiarów, z namalowanymi otwartymi ustami i oczami, niektóre miały uchwyty jak uszy, przypominały tamte z salonu.

– Eliso, powierzę ci specjalne zadanie.

Wciąż nie mogłam się przyzwyczaić do tonu, jakim wymawiał moje imię.

– Te muszle w pudłach pochodzą z Isla Negra. Niektóre znalazłem spacerując po plaży, inne mi podarowano. Chcę, żebyś je wytarła z kurzu, z największą ostrożnością. Poproś Raquel o ściereczkę. W tej książce jest klasyfikacja. Pogrupujemy je według rodzajów i umieścimy na półkach.

Zawsze mówił tak, jakby wygłaszał ważną kwestię, choćby chodziło o ilość soli dodawanej do wody, w której gotuje się ryż.

– Następnie wypiszemy nazwę na etykietce, takiej karteczce, jak w muzeach. Mamy tu coś, czego też możesz się nauczyć z książek: klasyfikację muszli.

– A pan czego się nauczył?

– Jak długo jeszcze będziesz do mnie mówić per pan... Z książek? Wszystkiego.

Położył sobie muszlę na dłoni i patrzył na nią, jakby była żywa, zdmuchnął z niej kurz i położył ją na drugiej półce.

– Zamontujemy w regale więcej półek, żeby je wszystkie pomieścić. Dziś mają mi przywieźć deski.

Kichnęłam z powodu kurzu i popatrzyłam na butelki. Gdyby to Pablo kichnął, potłukłby je. Był tuż obok nich, kuczał. Miał porozpinane guziki koszuli i wystawały mu spod niej zmierzwiłone włosy.

– A co mam zrobić z butelkami?

– Też zetrzyj z nich kurz, potem zniemiemy je do salonu.

– Czemu nie zostawi ich pan tutaj?

Nie było takiej szansy, żebym zaczęła zwracać się do niego po imieniu.

– Są bardzo delikatne, łatwo je rozbić. Poza tym na szkle są narysowane twarze. Nie mogłabyś spać w otoczeniu butelek, które na ciebie patrzą.

Podniosłam na niego oczy. Chciałam powiedzieć: „Ale ja nie śpię w tym pokoju”. Pablo zatrzymał się i rozejrzał po pomieszczeniu, jakby je mierzył wzrokiem.

– Jeśli postawimy łóżko z tej strony, będziesz widziała morze.

Po południu przyjechał chłopak z półkami. Ten, którego widziałam przedtem w klubie i na rowerze.

Wysiadł z furgonetki, którą kierował Florencio, ten ze sklepu spożywczego, i wtedy zauważyłam, że są do siebie podobni. Zadarty nos u dorosłego mężczyzny, jakim był Florencio, sprawiał komiczne wrażenie.

Położył deski z tyłu domu i zarysowały mu się przy tym mięśnie ramion. Pablo rozmawiał z Florenciem i chłopak podszedł do mnie.

– Cześć – powiedział tym razem głośno. Miał białe, ale nierówne zęby, jak jego ojciec.

– Zajmijmy się półkami, Aldo.

Jak ktoś może mieć na imię Aldo, pomyślałam.

Pablo i Aldo zaczęli montować półki w regale, a ja poszłam do kuchni po ściereczkę. Wkrótce byłam już obok nich i wycierałam butelki.

Książka, którą mi dał Pablo, leżała na stoliku. Nosiła tytuł *Rzadkie muszle*. Aldo popatrzył na nią, a ja poczułam, że płoną mi policzki.

– Ile ci jestem winien? – spytał go Pablo.

Chłopak spuścił wzrok.

– Nic. Chciałbym, żeby mi pan pozwolił przychodzić na swoje wieczory poetyckie.

18

Usiadłam na podłodze z muszlami i otwartą książką. Żeby się nie zamknęła, położyłam na niej wielką muszlę, *Strombus costatus*, pochodzącą z wybrzeża brazylijskiej prowincji Bahía.

W miarę jak je czyściłam, odkładałam do pudła. Na dnie zostawiałam te rzadkie – miały się znaleźć w najbardziej widocznych miejscach. Te najpospolitsze położyłam na najwyższych półkach.

Oglądałam muszlę, a następnie szukałam takiego ślimaka w książce. *Malea ringus*. Ktoś przywiózł ją tutaj z Peru. *Malea ringus* to dobra nazwa dla muszli. To musiała być kobieta.

Podeszłam do drzwi i przekręciłam klucz w zamku. Potem zdjęłam majtki. Podciągnęłam sukienkę. Rozłożyłam nogi i przyjrzałam się sobie: różowe fałdy, takie same jak w muszlach. Dokoła wyrosły ciemne włosy, jak pod pachami.

Włożyłam palec do środka i zadrżałam. Zacisnęłam i rozluźniłam się wokół palca, i znów pojawiło się drżenie. Zamknęłam oczy i nadal poruszałam palcem. Czułam się, jakbym zaraz miała się posikać, ale wrażenie było przyjemne i nerwowe. Zaparło mi dech w piersi. Wkrótce całym moim ciałem wstrząsnął dreszcz i zrobiło się mokro. Przestraszona wyjęłam palec. Włożyłam z powrotem majtki i wróciłam do książki.

Muszla *Cassis cornuta* była beżowobiała, a pochodziła z Hawajów. *Turbinella angulata* miała kształt ryby, sprowadzono ją z Veracruz. Odpowiednia para dla *Strombus gigas*, najeżonej kolcami, małej, różowej muszli z Miami.

Czułam się jak w szkole – przygotowywałam etykiety i uczyłam się wszystkiego na pamięć: nazw, krajów, części ciała, wzorów chemicznych. Na co mi było to wszystko? Chciałam się dowiedzieć nowych rzeczy. Dlaczego Delia chce być młoda? Dlaczego Pablo ogląda się za innymi kobietami? Czemu poszedł do łóżka z tamtą kobietą, skoro ma Delię? Jak długo trwa spojrzenie mężczyzny? Dlaczego Aldo, mimo że odszedł bez pożegnania, sprawił, że wciąż o nim myślę, choć mi się nie podoba?

Dlaczego ludzie rujną sobie życie lub tracą je z powodu miłości, a nawet nie próbują się jej uczyć? Poznają konstelacje, matematykę, historię, fizykę – rzeczy, które tak naprawdę nie są ważne w życiu. Albo starają się wprowadzić porządek i etykiety wszędzie, gdzie się da.

Zapadł wieczór. *Nautilus pompileus* fluoryzował. Poszukałam go w książce. Czy tam na Filipinach wszystkie muszle jarzą się w mroku? Gdzie są Filipiny?

Wyrzałam przez okno i zobaczyłam ich. Szli w stronę morza. Delia miała narzucony na ramiona wełniany sweter. Pablo położył jej rękę na karku. Ona oparła głowę na jego ramieniu. Wyobraziłam sobie jej ruch – ręce trzymające sweter na wysokości piersi, jakby było zimniej niż w rzeczywistości. Patrzyłam na nich, aż zniknęli w ciemności na plaży.

Sama położyłam sobie dłoń na karku i zadrżałam, jak przedtem. Moje ciało było pełne niespodzianek. Nikt nigdy nie dotykał mnie w tym miejscu.

19

Mama miała na sobie sukienkę bez rękawów, a mięśnie jej ramion poruszały się, kiedy mieszała w garnku. Para sprawiła, że włosy jej zmatowiały, a twarz błyszczała.

- Czemu wkładasz tam chleb?
- Jeżeli dodasz kawałek chleba, kalafior nie będzie tak śmierdział.
- Kto cię tego nauczył?
- Twoja babcia.

Nie znałam swojej babci. Nie znałam też taty. Ale ojcowie nie uczą takich rzeczy.

Usiadłam przy stole i zaczęłam układać figury ze skórki chleba. Tak powinno być: kiedy dziewczyna staje się kobietą, matka wyjaśnia jej wszystkie te sztuczki. Plamy z czerwonego wina wywabia się białym; żeby nie płakać podczas krojenia cebuli, trzeba napełnić usta wodą; woda do zaparzania herbaty powinna być wrząca, do zaparzania kawy – nie. Deszczówka i piwo nadają połysk włosom. Tak mi powiedziała wieczorem przed naszą podróżą do Isla Negra. Nałapała wody deszczowej do wiadra i umyła sobie w niej włosy.

Niektóre sztuczki chyba nie działają, bo wciąż czułam woń gotującego się kalafiora. Ułożyłam dom ze skórek chleba, ale go zaraz zburzyłam.

- Mamo, Pablo chce, żebym spała na górze, w pokoju z muszlami.

Ramiona na sekundę stężały, po czym znowu zaczęły mieszać.

– Dobrze – odrzekła mama. – To nawet lepiej. Będzie ci wygodniej i będziesz widziała morze. Potem przeniesiemy rzeczy. W nowym pokoju musimy powiesić krzyż i anioła.

20

Aldo zjawiał się pierwszy, a teraz wychodził jako ostatni. Nie odezwał się przez całe spotkanie. Za każdym razem, gdy się odwracałam, patrzył na mnie. Spuszczał wzrok i coś rysował w zeszycie. Podobało mi się, gdy byłam niewidoczna, ale spojrzenie Alda było przyjemniejsze.

Delia podała mu kawę, podobnie jak pozostałym. Podeszłam z cukiernicą i poczułam jego zapach. Mydła, lakieru i farby. Szkoda, że nie poczęstował się cukrem.

Julia włożyła czarną sukienkę i miała kolczyki z pereł. Aldo na nią nie patrzył. Odwrócił się, poszukał mnie wzrokiem i uśmiechnął się.

– Do zobaczenia, Eliso – pożegnał się ze mną w drzwiach.

Inni rozjeżdżali się samochodami, a on ruszył w drogę powrotną pieszo.

Nie, Aldo nie był ostatni. Z góry zeszła Julia.

– Szukałam łazienki...

Zaraz za nią pojawił się Pablo. Skierował się do kuchni, a ja za nim. Byłyśmy tam teraz we trzy: Delia z filiżankami na tacy, moja mama i ja. On rzekł:

– Odwiozę Julię na stację.

Uruchomił samochód. Julia usiadła obok niego.

Ponownie usłyszałam warkot silnika i ujadanie Chu-Tuha późno w nocy. Na zewnątrz cykały świerszcze, zegar wskazywał trzecią.

21

– Dzisiaj zjesz z nami kolację, Eliso – zapowiedział Pablo.

Na stole dostrzegłam trzy talerze. Mamy nie zaproszono.

– Począwszy od dziś, Elisa jada z nami. Chcę, żebyś ją nauczyła jeść w cywilizowany sposób.

Delia uśmiechnęła się do mnie. Kiedy się uśmiechała, tak jak teraz, czułam się, jakbym latała. Uśmiech Pabla, przeciwnie, sprawiał, że spuszczałam oczy i czułam się głupio.

Pablo siedział u szczytu stołu, a Delia naprzeciwko. Ja siadłam pośrodku, naprzeciw okna. Po jednej i drugiej stronie talerza leżały widelce i noże, a z trzeciej strony, od góry – dwie łyżeczki: duża i mała, obok nich stały dwa kieliszki.

– To nie jest trudne – rzekła Delia – jeżeli nawet Pablo się nauczył. Trzeba się tylko kierować zdrowym rozsądkiem. Dlaczego kieliszki stoją po prawej stronie?

Wyciągnęłam rękę i podniosłam jeden. Delia skinęła głową.

Pablo wziął serwetkę z talerza i rozłożył ją. Zamierzał zawiązać ją sobie na szyi, tak jak robił, kiedy nie było Delii, ale zatrzymał się w pół ruchu i rozpostarł sobie serwetkę na kolanach.

– Przede wszystkim, gdy tylko usiądziesz, rozkładasz sobie serwetkę na spódnicy. I nigdy nie dotykasz talerza – ciągnęła wykład Delia. – Zawsze czekasz, aż zacznie pan albo pani domu. Jeśli masz więcej niż jeden komplet sztućców po każdej stronie, od którego zaczniesz?

Żeby mi pomóc, Pablo rozprostował ramiona, nie podnosząc dłoni z obrusa.

– Od tego, który jest bardziej na zewnątrz?

– Oczywiście.

Delia podniosła widelec. Zrobiłam to samo.

– Wyprostuj się. To widelec idzie do twoich ust, nie odwrotnie.

Jadłam tak ostrożnie, że nie czułam smaku sałatki. Seler z jabłkiem, to pewnie pomysł Delii.

– Gdy się napijesz, ocierasz delikatnie usta serwetką. Sztućce odkładasz na brzeg talerza, a kiedy skończysz jeść, kładziesz je razem w poprzek, o tak.

Mama weszła, niosąc półmisek z kurczakiem i ziemniakami. Nie popatrzyliśmy na siebie.

– Dziękuję, Raquel. – Delia nałożyła sobie porcję i podała mi półmisek. Wzięłam sobie nóżkę kurczaka i dwa ziemniaki, po czym przekazałam półmisek Pablowi.

– To wszystko. A kiedy się już nauczysz, możesz robić, na co masz ochotę.
– Wzięła udko do ręki i wbiła w nie zęby.

Roześmialiśmy się, ale ani Pablo, ani ja nie zjedliśmy kurczaka rękami.

– Popatrz na szczękę Delii, Eliso – odezwał się Pablo. – Arystokratki są bardzo podobne do swoich koni. Widziałas, jak Delia maluje konie? Wyglądają znajomo. Tak samo jak jej przyjaciółka Victoria albo Vicente Huidobro. – Roześmiał się, szczerząc zęby.

– Nie bądź niesprawiedliwy wobec Victorii. Wydała twoje wiersze.

– Oj, wolałbym nie publikować nic w czasopiśmie, które wydaje Ortegę y Gasseta...

Spojrzałam na zaczerwienione ręce mamy, która zbierała nakrycia, przekładając je na tacę. Po chwili wróciła z trzema filizankami, kafeterką, cukiernicą i dzbanuszkim śmietanki.

Delia nalała nam kawy. Były to te same filizanki, w których podawałyśmy kawę gościom. Białe, ze złoconym brzegiem i różyczkami w środku.

– Jest coś, czego nauczysz się znacznie szybciej niż Pablo, Eliso. Nie należy pić kawy łyżeczką ani jej oblizywać.

Pablo powoli oblizwał łyżeczkę. Spuściłam wzrok.

– Do tego nie stosuje się zasady zdrowego rozsądku – rzekł. – Nie piję kawy łyżeczką, tylko wybieram spienioną śmietankę. Jest tylko jeden sposób na to, żeby nie została w filizance, właśnie wydobyć ją łyżeczką. O tak, widzisz? Możesz tego nie robić, Eliso, o ile nie smakuje ci spieniona śmietanka.

22

Okno i otwarte drzwi wychodziły na kamienną drogę, o którą stukały krople deszczu. Byliśmy w kuchni i patrzyliśmy, jak pada – mama, ja i Chu-Tuh, wyciągnięty przed stołem. Mama mi powiedziała, żebym jeszcze nie wchodziła na piętro i nie hałasowała: Pablo pisał.

– A co on pisze, mamó?

– Wiersze.

Miała ściereczkę idealnie złożoną w kwadrat i rozmawiając ze mną, przekładała ją z ręki do ręki.

– Co to takiego? – zapytałam, choć oczywiście wiedziałam, czym są wiersze.

– Jak opowieści – odparła – tylko że nic nie opowiadają.

– Jak piosenki.

– Właśnie, jak piosenki.

Wolałabym pójść na górę, do mojego pokoju, mojego nowego pokoju, i patrzeć stamtąd na deszcz padający w morze, na szare, ciężkie niebo i na nurkujące w wodzie błyskawice. Mogłabym też patrzeć na muszle. Znowu je układać.

Mama wstała i odkręciła kran, ale zaledwie odrobinę, jak gdyby szum płynącej wody dał się słyszeć tam na górze i mógł przeszkadzać Pablowi.

– Znałaś już Pabla, zanim tu przyjechałyśmy? – zapytałam w końcu.

– Tak.

Odwróciła się do mnie plecami i zaczęła rozpalać ogień. Zużyła trzy zapałki, zanim pojawił się płomień.

Byłaś w nim zakochana? Był w tobie zakochany? Nie umiałam zadać takiego pytania.

– Jaki wtedy był?

– Biedny. I nazywał się też inaczej.

– Inaczej się nazywał?

– Neftalí Ricardo Reyes.

Dlaczego ktoś miałby zmieniać sobie nazwisko? Czajnik sapał i wyrzucał

z siebie słup pary. Wstałam, żeby przygasić ogień.

Wyjmując z kredensu filiżanki, mama upuściła talerz, a on roztrzaskał się na podłodze.

Zmiotłam szybko okruchy szczotką i znowu usiadliśmy przy stole. Mama podała herbatę, wsypaliśmy sobie cukru i zamieszałyśmy.

Wiedziałam, że to zrobi, i zrobiła – spróbowała napoju łyżeczką, po czym włożyła ją do filiżanki.

23

Codziennie Pablo patrzył, jak wchodzę po schodach i przemieszczam się z lewa na prawo, odkurzając szczotką książki. Czekałam, aż pójdzie sobie na dół, do kuchni, albo do swojego pokoju, wybierałam jedną, otwierałam ją na chybił trafił i czytałam akapity, które podkreślił.

Na stronie 170 *Utraconej*: „Poczynając od pewnego wieku, nasze wspomnienia są tak ze sobą splecione, iż rzecz, o której myślimy, lub książka, którą czytamy, nie mają już żadnego znaczenia. Wszędzie wkładamy część samych siebie, wszystko jest płodne, wszystko niebezpieczne i odkryć równie cennych jak w *Myślach* Pascala możemy dokonać w reklamie mydła”.

Dalej, na stronie 257: „Kłamstwo jest nieodłącznie związane z naturą człowieka. Odgrywa w niej prawdopodobnie równie ważną rolę jak poszukiwanie przyjemności, które zresztą nim kieruje. Kłamiemy, aby ukryć naszą przyjemność lub nasz honor, jeśli ujawnienie przyjemności jest sprzeczne z naszym honorem. Okłamujemy przez całe życie – nawet, przede wszystkim, a może tylko tych, co nas kochają”⁷.

Zostało mi jeszcze trochę do końca. Nie zabierałam książek z biblioteczki na dłużej, nie chciałam, by Pablo dowiedział się, co czytuję. Odłożyłam książkę na miejsce. Nagle poczułam między nogami ciepłą, lepłą ciecz.

Podniosłam spódnicę – po udach ściekały mi do kolan dwie cienkie strużki krwi.

Pobiegłam do łazienki. Rozłożyłam nogi i zobaczyłam krew.

Mówiła mi o tym koleżanka ze szkoły.

Wystraszyłam się, kiedy zobaczyłam krwawą plamę na jej spódnicy, ale ona mi to wyjaśniła. „Boli?” – spytałam. Nie bolało, to była prawda. Jednak nie wspomniała mi o zapachu. Zamoczyłam sobie palce w tej krwi – woń białka z kurzego jaja. Mama zobaczyła, jak wchodzę do kuchni i chowam za plecami majtki.

Podeszła do mnie spokojnie i objęła.

– Teraz jesteś już panną.

24

Przez miesiąckę zrobiłam się głodna. Ale nie mogłam jeść produktów, które zapachem przypominały moją krew: mały ani jajek.

Wczoraj po południu poszłam z mamą do sklepu Florencia. Kupiliśmy watę i papier toaletowy, a potem mama mi pokazała, jak robić podpaski: prostokątny kawałek waty owijać papierem. Wyszłam ze sklepu, kiedy Florencio wkładał watę i papier do koszyka mamy. „Aldo się dowie” – pomyślałam.

– Chcesz, żebym ci podała śniadanie, czy zaczekasz na nich? – zapytała mama. Zaglądała już dwa razy do salonu, żeby sprawdzić, czy ma przynieść kawę.

– Zaczekam – powiedziałam zakłopotana.

Usłyszałam głos Pabla:

– Spóźnisz się, przegapisz samolot i Madame Charmante będzie wściekła. Zszedł na dół z walizką i postawił ją koło drzwi.

Delia była ubrana w jasnoszarą sukienkę z długimi rękawami i buty na obcasach. Usiadła.

– Jadę do Buenos Aires, żeby odwiedzić Victorię i pozalać sprawy. – Popatrzyła na mnie, a potem na mamę, która podawała kawę.

– Kto to jest Victoria? – spytałam.

– Moja serdeczna przyjaciółka. Jeszcze będziesz miała okazję ją poznać...

Nie chciałam, by wyjeżdżała, pomyślałam o Pablu, który zostanie sam. O kobiecie ze znamieniem na łydce. O Julii. Ale Julia nie przychodziła już na wieczory poetyckie.

Pablo był poważny. Zawiązał sobie serwetkę na szyi.

Delia posmarowała dżemem kromkę, spojrzęła na zegar i odłożyła ją na talerz.

– Naprawdę się spóźnię.

Pablo zdjął sobie z szyi serwetkę. Dopił kawę na stojąco i wyszedł z walizką. Delia i ja poszłyśmy za nim. Zatrzymałyśmy się przy aucie.

– Wczoraj – odezwała się do mnie – kiedy poszłyście z Raquel do

miasteczka...

– Co się stało?

– Przyszedł Aldo.

– Przecież wczoraj nie było wieczoru poetyckiego.

– Nie przyszedł słuchać poezji. Pytał, czy jesteś w domu.

Pablo zatrąbił trzy razy.

– Teraz rzeczywiście zrobiło się późno – rzekła Delia.

Pocałowała mnie w czoło i znów poczułam zapach jaśminu. Nawet blisko jej ciała był ulotny, jak wspomnienie perfum.

25

Kobieta, która głośno się śmiała, ta z płamą na łydce, weszła przez główne drzwi domu.

Głośno stukała butami na wysokim obcasie, a szła wielkimi krokami, przyglądając się wszystkiemu. Weszła do kuchni.

– Ile jeszcze do kolacji?

Mama podniosła wzrok znad kuchenki.

– Pół godziny.

Zawołał mnie Pablo:

– Eliso. Przedstawiam ci Matilde, to moja przyjaciółka.

Jaka tam przyjaciółka. Odsunęłam twarz i pocałowała mnie koło ucha.

Usiadła i przybliżyła się za bardzo do stołu. Nie patrzyła na mamę, kiedy ta podawała zupę. Nie powiedziała „dziękuję”. Nie umiała się posługiwać sztućcami. Ocierała sobie usta, przyciskając do nich brzeg serwetki, którą potem zostawiła na obrusie poplamioną szminką.

Pablo nie zwracał na to uwagi. Uśmiechał się łagodnie i pił dużo wina.

Mama przyniosła kawę i Matilde spróbowała napoju łyżeczką. Dmuchała na kawę i piła ją, siorbiąc, małymi łykami. A kiedy podnosiła filiżankę do ust, unosiła też mały palec.

Usiedli w salonie i słuchali radia. W kuchni było słycać ich śmiechy.

Mama myła naczynia, hałasując bardziej niż zwykle, trącała jednymi o drugie i pomyślałam, że w końcu coś rozbije. Z rozmachem postawiła talerze na stole. Wzięłam się do wycierania. Pochłonął mnie kontakt wilgotnego, ciepłego materiału z fajansem i na chwilę udało mi się zapomnieć o Matilde. Wytarłam wszystko, do ostatniej filiżanki. Potem ucałowałam mamę, a ona pożegnała mnie pocałunkiem w czoło.

– Śpij dobrze – życzyła mi.

Nie mogłam spać dobrze. Matilde poszła na górę do pokoju Pabla. Zamknęli drzwi. Ze swojego pokoju znów słyszałam śmiechy.

Wstałam i na palcach podeszłam do drzwi. Przyłożyłam ucho. Jeszcze raz śmiech, a potem sapanie Matilde.

Rytmiczne skrzypienie łóżka. Krzyk. Kobięcy.
I jeszcze raz. Cisza.

26

Delia wyjechała do Buenos Aires zaledwie tydzień temu. A wydawało się, że minął rok.

Pablo wybrał się do miasteczka – od kiedy nie było Delii, wychodził codziennie w południe po gazetę – i jak zawsze zostawił otwarte drzwi.

Weszła Matilde i nie przywitała się ze mną. Miała ogromną walizę i wniosła ją na górę, do pokoju Pabla.

Zeszła z powrotem w słomkowym kapeluszu Delii i kraciastych szortach.

Właśnie wrócił Pablo.

– Zdejmij ten kapelusz – rzekł. I dodał łagodniejszym tonem: – Nie pasuje ci.

– Chodźmy na plażę – powiedziała. I nie zdjęła kapelusza.

Pablo nigdy nie chodził na plażę wcześniej niż późnym popołudniem, ale tym razem poszedł na górę, żeby się przebrać, i zaraz zszedł z powrotem, w kostiumie kąpielowym i czapce.

Już nie pisał. Nie czytał. Nie myślał. Zachowywał się, jakby był uśpiony, zahipnotyzowany.

Kiedy wrócili z plaży, ona niosła kapelusz w ręce. Miała krótkie włosy, przycięte na wysokości szczęki. I ufarbowała je sobie na ten sam kolor co Delia.

Tego dnia zeszłam na dół później niż zwykle. W kuchni byli Matilde i Pablo oraz mama. Stałam przy drzwiach i słuchałam.

– To jedyne wytłumaczenie – mówiła Matilde. – Dwa dni temu zostawiłam go na komodzie i teraz go nie ma. To pani albo pani córka.

– Dobrze szukałaś? – zapytał Pablo.

– Już ci mówiłam, że tak. Jeżeli zamierzasz tolerować takie... Zostaliśmy...

– Nie wiem, o czym pani mówi – powiedziała mama.

– Dobrze pani wie. Mój naszyjnik z pereł i brylantowa broszka.

Sprawdzałam pokój codziennie, kiedy słałam łóżko. Nigdy nie widziałam na komodzie naszyjnika z pereł. Komoda należała do Delii. Zawsze stały na niej jej perfumy i leżała szczotka do włosów. Tak czy inaczej, żadnego naszyjnika i tak bym nie przymierzała. Matilde kłamała.

Okrążyłam dom i weszłam do pokoju mamy. Mama otworzyła walizkę, z którą przyjechałyśmy do Isla Negra, ale potem odłożyła ją z powrotem na szafę. Wzięła dwie duże torby i zaczęła wkładać do nich ubrania.

– Będę musiała wyjechać na jakiś czas – rzekła. – Ale ty zostaniesz.

– Nie. – Słowa uwięzły mi w gardle, zmieszane ze strachem, jakiego nigdy do tej pory nie czułam. Usiadłam na łóżku i patrzyłam, jak mama składa swoje rzeczy.

Bluzki i spodnie. Płaszcz. Czerwony szal. Zrobiła go na drutach w Temuco. Kiedy została bez pracy, zaczęła dziergać: rękawiczki, szaliki, swetry dla mnie, choć nie podobały mi się ubrania robione na drutach. Dała mi ten szal.

– Zatrzymaj go sobie na zimę.

– Ale, mamo, do zimy jeszcze dużo czasu. Kiedy przyjedzie Delia...

– Zatrzymaj go.

Podniosła torby. Chciałam wziąć ją za rękę, ale mi nie pozwoliła.

– Pożegnajmy się tu – powiedziała na skraju ogrodu.

Objęła mnie. Pachniała delikatnie wybielaczem. Pogładziła mnie po

twarzy. Palce miała szorstkie i zimne.

– Będziemy rozmawiać przez telefon. Uważaj na siebie. – Nie patrzyła mi w oczy.

Chu-Tuh krążył wokół nas. Mama pogłaskała go po grzbiecie, znów wzięła torby i ruszyła w drogę.

Szłam za nią jeszcze przez kilka metrów. Wciąż miałam w ręce czerwony szal, założyłam go sobie na szyję.

Chu-Tuh towarzyszył jej, poszczekując, do końca dróżki, a potem wrócił do mnie. Mama się nie obejrzała.

II

1

Powietrze nieruchome i ciepłe, a po drugiej stronie okna na drzewach znowu liście, morze już nie szare, tylko niebieskie. I ptaszki ze swoim świergotem, przypominające mi ptaka z wielkimi skrzydłami, którego namalowała Delia.

Zostałam jeszcze trochę w łóżku i dotykałam swojego ciała. Piersi, nawet kiedy leżałam na plecach, wreszcie się zaznaczały. Nieco rozchylone na boki, jak u tych rzeźb dziobowych w ogrodzie. Dotknęłam sutków, a potem polizałam palec wskazujący i włożyłam go między nogi, jak wtedy, kiedy wieczorem klasyfikowałam muszle. Poruszałam nim to wolniej, to szybciej. Zakryłam dłonią usta, bo może – sama nie wiem – zaczęłabym krzyczeć.

Wstałam i poszukałam biustonosza w nogach łóżka. Kolejna dobra rada mamy: zdejmować biustonosz do snu. Ostatnim razem, gdy byłam w Temuco, podarowała mi dwa. Były zawinięte w ozdobny papier. Miały kolor skóry i były z błyszczącego materiału. Nie podobały mi się jednak tak bardzo jak te, które przywoziła mi Delia.

Za każdym razem, kiedy wybierała się do Buenos Aires, wracała z prezentami: książkami dla Pabla, bielizną dla mnie, uszytą z tak gładkiego materiału, że miałam wrażenie, jakbym była goła pod spodem. Ostatnim razem przywiozła mi też niebieską sukienkę ze wzorem w bukietki kwiatów. „Gdy masz na sobie jedwabną sukienkę – powiedziała – już nie chodzisz tak samo”.

Założyłam ją. Stałam na schodach. Nie było nikogo. Pablo i Delia poszli chyba do miasteczka.

Weszłam do jej pokoju i wolno ruszyłam w stronę swojego odbicia w lustrze. Jedwab pieścił mi skórę. Nie chciałam zdejmować sukienki, chociaż wiedziałam, że powinnam ją zostawić na odpowiednią okazję. Zatrzymałam obraz samej siebie w lustrze Delii, to nowe spojrzenie, którego nie umiałam do końca odszyfrować.

Ludzie trzymają zdjęcia, na których uwieczniono szczęśliwe chwile z przeszłości. Moje szczęście zawsze jest jeszcze przede mną.

2

Delia coraz częściej jeździ do Buenos Aires, „załatwiać swoje sprawy”, jak zawsze mówi. Bez niej dom wydaje się większy. Zajmuję pokoje i przestrzenie, które opuszcza Pablo, jakbym była jego cieniem. Tylko we dwoje siadamy do posiłków – w milczeniu, nie patrząc na siebie.

Za każdym razem, gdy biorę do ręki sztućce albo kieliszek, myślę o Delii. Bardziej zgadzam się z Delią niż z własną matką. Kiedy przyjeżdża, pyta mnie: „Dzwoniłaś do swojej mamy?”, „Byłaś ją odwiedzić?”.

Dzwonię do niej. Czasami ona dzwoni do mnie. „Cześć” – mówi i czeka, aż odpowiem. Rozmawiamy o pogodzie – w Temuco pada, rzecz jasna, a w Isla Negra nie. Pyta mnie o Chu-Tuha albo o Delię. Czuję się tak, jakby słuchawka telefoniczna mnie parzyła. „Dobrze, mam, muszę już kończyć”.

3

Jak zawsze, mama wyszła po mnie na stację w Temuco. Nie miałam bagażu, tylko torebkę, którą podarowała mi Delia, oraz trochę pieniędzy – dawała mi je co tydzień, chociaż się upierałam, że nie potrzebuję – i książkę, *Madame Bovary*, żeby poczytać w podróży.

– Jaka ładna torebka – powiedziała mama. – I ty też jesteś ładna.

Ona, przeciwnie, wydawała się wyczerpana. Kąciki wąskich ust opadły jej w dół i miała sińce pod oczami.

– Dobrze się czujesz, mammo?

– Tak, jestem trochę przeziębiona, nic więcej.

Odniosłam wrażenie, że się zmęczyła, idąc ze stacji do domu, swojego nowego domu. Teraz mieszkała z Juana, naszą sąsiadką. Imąły się różnych zajęć: robiły poprawki krawieckie, przyrządzały jedzenie na przyjęcia, piekły ciasta, chleb.

Większość czasu spędzały w kuchni, która pachniała wanilią lub czosnkiem, zależnie od tego, co przygotowywały.

Juana nie gotowała. Siedziała przy maszynie do szycia i kiedy zobaczyła, że przyszliśmy, zdjęła nogę z pedału. Miała włączony telewizor, nastawiony trochę za głośno.

– Pewnie jesteś głodna – powiedziała mama.

Ale ja nie miałam ochoty na jedzenie. Chciałam jak najszybciej sobie pójść.

Wyjęła z lodówki talerz z zapiekanką cebulową.

Usiadłam przy stole przykrytym kraciastą ceratą, taką samą jak w naszym domu. Może to nawet była ta sama cerata.

Jadłam porcję tarty, a one wpatrywały się we mnie.

– Chcesz coca-colę?

Musujący napój sprawił, że zachciało mi się kichnąć. Nie pamiętałam, że jest taki słodki.

– Opowiadaj, córko.

Nie miałam o czym opowiadać.

– Potrzebujesz czegoś?

Powinam jej powiedzieć, że nie, że Delia kupuje wszystko, czego mi trzeba. Nie odezwałam się.

– A jak pani Delia, dobrze się czuje?

– Bardzo dobrze. – To ona kazała mi tu przyjechać.

Mama spojrzała przed siebie zagubionym wzrokiem, jakby szukała we wspomnieniach wizerunku Delii. Delii, która przybyła do Isla Negra. Delii przygotowującej razem z nią w kuchni sałatkę owocową. Obie w milczeniu, skupione na obieraniu pomarańczy.

– Uczy mnie angielskiego i francuskiego.

Mama otworzyła szeroko oczy. Cieszyła się również z tego.

– Idę do łazienki – powiedziałam.

Przeszłam przez pokój, w którym sypiały. Łóżka były idealnie zasłane. U wezłowi wisiały różańce i sucha gałązka drzewa oliwnego, a na komodzie stała gipsowa figurka Maryi.

W łazience usłyszałam, jak mama otwiera szufladę.

W półmroku pokoju podeszła do mnie ze złotym medalikiem na łańcuszku, wizerunkiem Matki Boskiej. Od dawna matka nie była tak blisko mnie. Chciała powiesić mi medalik na szyi, ale włożyła mi go do ręki i zamknęła moją dłoń.

Telewizor był wciąż włączony, zaczynały się wiadomości. Rozejrzałam się za swoją torebką.

– Pójdę już.

– Odprowadzę cię.

Mama wzięła swą wielką portmonetkę i torbę, w której nie wiem, co nosiła. Szłyśmy nieśpiesznie na stację. Czułam w sercu ogromny ciężar, smutek, którego nie umiałam wyjaśnić, i chciałam się go pozbyć, jak zrobionego na drutach swetra.

4

Usłyszałam, że podjechała furgonetka, a potem pod moim oknem rozległy się głosy.

– Dzień dobry. Wpadłem zapytać, czy czegoś nie potrzebujecie...

Głos Alda. Siedziałam cicho, nasłuchując.

Zapadła długa cisza. Pomyślałam, że Aldo wszedł do furgonetki i szykuje się do odjazdu. Na dwa ostatnie wieczory poetyckie też przyjechał tym samochodem.

– Czy jest Elisa? – usłyszałam nagle. I szczekanie Chu-Tuha.

Nauczyłam się rozpoznawać jego szczeknięcia jak ludzką mowę. Nie chciał przepędzić Alda, tak jak to robił z Matilde. Tym razem czekał na powitanie.

– Elisy nie ma – skłamał Pablo. – Wyszła.

Wtem usłyszałam głos Delii z ogrodu:

– Eliso, chodź tutaj. – Jakby nie usłyszała słów Pabla.

Pablo wszedł do domu, trzaskając drzwiami, i poszedł do swojego pokoju. Wyglądziłam sobie rękami sukienkę, poprawiłam włosy i zeszałam.

Aldo miał na sobie kraciatą koszulę. Głaskał Chu-Tuha.

– Eliso. Zrobię sobie herbaty – powiedziała Delia. – A potem chcę, żebyś mi pomogła przy roślinach.

I zostawiła nas samych.

Aldo wciąż głaskał po głowie psa.

– Cześć – przywitał się.

– Cześć.

– Przywiozłem ci prezent.

Wyciągnął z tyłu furgonetki duży pakunek i trzymał go, opierając o ziemię.

Ostrożnie rozwijałam papier, żeby nie zniszczyć tego, co się pod nim kryło. Ostatni prezent tej wielkości, jaki dostałam, to był rower, miałam wtedy jedenaście lat. Gdzie ten rower może teraz być?

To było prostokątne lustro, w ramie z ciemnego drewna. Wysokie jak ja i nieco szersze niż moje ramiona.

– Możesz je powiesić albo postawić na podłodze, oprzeć o ścianę koło regału z muszlami.

Skąd wiedział, że to jest mój pokój?

Patrzyłam na siebie w zwierciadle, jakbym się nie poznawała.

– Dziękuję. Dlaczego mi je dajesz?

– Żebyś się mogła przeglądać codziennie. Żebyś widziała, jaka jesteś ładna.

Nikt mi tego nigdy nie mówił. On powiedział, nie patrząc na mnie.

Oparł lustro o furgonetkę, odwrócił się i stanął przede mną. Ponad jego ramieniem, w oddali, po morzu płynął żaglowiec.

– Ile masz lat? – zapytałam.

– Siedemnaście. Szesnaście, prawie siedemnaście. Sam zrobiłem to lustro.

– Myślałam, że chcesz być pisarzem.

Roześmiał się. Nie byłam pewna, czy podoba mi się jego śmiech.

– W takim razie dlaczego przychodzisz na wieczorki poetyckie Pabla?

Nic na to nie odrzekł, spuścił tylko wzrok.

– Chcę być architektem. A ty?

– Nie wiem.

Zbliżył się i położył palec na moim policzku. Jakby mi przyłożył rozpaloną zapałkę. Cofnęłam się.

– Rzęsa.

Wysunęłam palec opuszką w górę, ale rzęsa już odleciała. Żadne z nas dwojga nie mogło wypowiedzieć trzech życzeń.

– Jaka szkoda – powiedziałam.

Podeszłam do lustra i podniosłam je. Było znacznie lżejsze, niż się wydawało.

– Pomóc ci?

– Nie, dam sobie radę. Dziękuję.

– Do następnego spotkania.

„Do następnego spotkania”. Nikt się nie żegna w ten sposób. Chyba jakiś bohater powieści.

Wsiadł do samochodu i odjechał. Chu-Tuh pobiegł za nim aż do końca ulicy.

Na schodach minęłam się z Delią.

– Lustro. – Nie była pomalowana.

– Podlejemy rośliny?

– A, rośliny – powiedziała, podnosząc rękę do czoła. Po czym roześmiała się. – To było kłamstwo. Nie potrzebowałam pomocy.

Postawiłam lustro obok regału z muszlami. Jeśli odsunęłam od ściany dolną krawędź, wyglądałam na wyższą i szczuplejszą. Dotknęłam sobie policzka tam, gdzie Aldo przyłożył palec.

Poszłam do biblioteki i poszukałam *Lolity*. Zaraz znalazłam tę scenę: profesor Humbert Humbert wyciąga z oka drobinę kurzu końcem języka.

Słowa Nabokova miały ten sam efekt co palec Alda na mojej twarzy.

5

Victoria była bardzo wysoka, a jej okulary miały nadzwyczaj grube szkła w białych oprawkach przypominających kocie oczy. Nosiła czarną sukienkę w grochy, wstążkę zawiązaną na szyi i krótki czarny żakiet. Do tego wielki kapelusz z rondem wygiętym w dół z jednej strony.

Szła z Delią w stronę domu, a Chu-Tuh biegł za nimi zygzakiem. Delia miała ubłocone pantofle, a na swoich kwiecistych szortach plamę z wybielacza.

Wyglądały jak siostry, z tą samą końską szczęką, o której mówił Pablo. Nie umiałam określić, która z nich jest starsza. Tak samo obcięte włosy, choć u Victorii ciemniejsze. Delia już się nie farbowała, białe odrosty nad ciemnymi włosami miały kilka centymetrów i groziły, że wkrótce zajmą całą głowę.

– A oto nasza słynna Elisa – powiedziała Victoria. Spojrzały na siebie i na mnie, zbyt szybko, żebym mogła odczytać coś z ich wzroku.

Delia przyniosła na tacy trzy kieliszki i butelkę wina. Dwa napełniła do połowy, a do trzeciego naląła nieco mniej, po czym wręczyła go mnie.

– Za nas.

Stuknęłyśmy się szkłem. Pierwszy raz w życiu skosztowałam wina. Przełknęłam duży haust i uderzyło mi do głowy. Taki smak nie mógł pochodzić z winogron, zdawał się palić żywym ogniem. Pomyślałam o Aldzie, o jego palcu na moim policzku. Pomyślałam o jego ustach. Potem piłam mniejszymi łykami, przeciągając chwilę, gdy napój płynął przez gardło, i myślałam: może pocałunki smakują tak samo.

Postawiłam pusty kieliszek na stole i poszłam do kuchni.

Delia i Victoria rozmawiały przyciszonymi głosami, nie jak Pablo, ale ja miałam niezły słuch i dobrze słyszałam na odległość. Zamknęłam oczy i skupiłam się na tym jednym zmyśle, a on wyostrzył się, przejmując funkcje pozostałych, wyłączonych.

– Jesteś taka odmieniona – zauważyła Victoria. A ja dobrze wiedziałam, co ma na myśli.

Ja też widziałam, że Delia się zmieniła. Już nie malowała, ale nie o to chodziło. Już nie umiała malować. Przestało być dla niej ważne, jak się ubiera, nie dbała o włosy. Co wydarzyło się najpierw: Pablo na nią nie patrzył, ponieważ nie była już taka jak kiedyś? Czy ona nie była już taka jak kiedyś, ponieważ Pablo na nią nie patrzył?

– A jaka byłam przedtem? – spytała Delia głosem, którego u niej nie słyszałam.

– Byłaś Delią del Carril.

Wyobraziłam sobie ich spojrzenia. Delia i Victoria umiały porozumiewać się wzrokiem, tak jak Delia mi kiedyś pokazała.

– To wina Pabla – stwierdziła Victoria. – Czego się można spodziewać po mężczyźnie, który nosi jedwabną piżamę.

– Skąd to wiesz?

– Widziałam ją wiszącą na sznurze. I popatrz na ten dom...

– Pablo nazywa to „architekturą spontaniczną”.

– Proszę cię! Walter zemdlełby na ten widok.

– Jaki Walter?

– Gropius. Chciałam ci przywieźć w prezencie jedną z jego lamp. Powiesiłam dwie po bokach kominka w San Isidro. Ale w tym salonie nie ma ładu ni składu. Najlepsze, co mogłoby mu się przydarzyć, to gdyby morze wtargnęło tu pewnej nocy i zabrało to wszystko.

Przez chwilę żadna z nich nie odezwała się ani słowem. Pomyślałam o pociągu, który zatrzymał się na stacji.

– Poprzednią noc spędziłam u Girondów – przerwała milczenie Victoria. Mówiła teraz tonem znacznie lżejszym i weselszym, jakby pociąg znów wjechał na tor otoczony zielenią. Miała ten sam akcent co Delia, lecz z innym zabarwieniem, młodszym. – Uwierzysz? Poczęstowali mnie kokainą.

– I przyjęłaś?

– Jasne.

– I?

– No cóż. Zaraz dostałam mdłości i musiałam iść do łazienki wymiotować.

Wreszcie się roześmiały.

– Może to nie z powodu kokainy, tylko jedzenia. Norah zupełnie nie zna się na kuchni – powiedziała Delia.

– A ty? Gotujesz jeszcze?

– Czasami. Nie muszę, Pablo jest bardzo dobrym kucharzem.

– Ach, przynajmniej robi coś pożytecznego...

Wyobraziłam sobie spojrzenie Victorii. Delia weszła jej w słowo:

– Kończy mi się curry, które przywiozłam z Indii.

– Powinnaś tam wrócić. Podróż dobrze by ci zrobiła.

– Już i tak za dużo podróżowaliśmy z Pablem.

– Właśnie z tego powodu powinnaś się wybrać bez niego.

Zajrzałam do salonu. Victoria leżała na kanapie i patrzyła na nas z rękami założonymi za głowę. Zdjęła buty. Miała bardzo długie palce u stóp, połowę długości palców u rąk.

Po schodach zszedł Pablo, robiąc przy tym mnóstwo hałasu.

– Witaj, Victorio. Jak miło cię widzieć – powiedział nienaturalnym głosem. Nie zdziwiłabym się, gdybym go zobaczyła w piżamie.

Wszedł do kuchni.

– Pomóż mi, Eliso. Musimy przygotować coś dla Madame Charmante.

Przepasał się fartuchem i otworzył lodówkę.

– Makaron. I sałatka. Ty zajmiesz się krojeniem pomidorów w kostkę.

Teraz słyszałam już tylko dobiegające z salonu śmiechy.

– Popatrz, jak to się robi – powiedział Pablo, a ja przestałam kroić pomidory. – Nauczysz się.

Usypał wielką górę mąki i rozbił w powietrzu trzy jajka.

Wyrabiał ciasto na makaron jak moja mama na chleb. Miał takie duże ręce. Pełne mąki wydawały się jeszcze większe.

Do drzwi podeszła Delia.

– Kieliszek chianti, Pablo? Elisa już swoje wypija.

Pablo wziął od niej kieliszek, a kiedy się odwróciła, klepnął ją w pośladki umączoną ręką.

Skończyłam sałatkę i poszłam nakryć do stołu. Pobiegłam do ogrodu po jaśmin. Ucięłam kilka gałązek i położyłam je na środku stołu w niebieskim szkle, pływające w wodzie. Nauczyłam się tego od Delii.

Victoria uśmiechnęła się do mnie. Nadal leżała na kanapie, majtając w powietrzu stopami o długich palcach, i przyglądała mi się tymi swoimi małymi, przenikliwymi oczyma.

Po obiedzie Delia i Victoria założyły kapelusze. Poszły na plażę, zdjęły buty

i spacerowały bosy po piasku wzdłuż brzegu.

Kiedy wróciły, Pablo jeszcze nie skończył sjesty. Zszedł nieuczesany, burkliwy. Najwyraźniej wyczerpały się jego zapasy uprzejmości. Chciał, żeby Victoria już sobie pojechała. Wyszedł bez słowa i skierował się do miasteczka.

Piłyśmy herbatę i chrupałyśmy ciasteczka, które przywiozła Victoria: serduszka z cukrem i orzechami oraz ciasteczka kukurydziane w kształcie listków koniczyny maczane w czekoladzie. Obie panie zapaliły papierosy i wyszły, żeby usiąść na ławce w ogrodzie.

Postałam przez chwilę pod oknem salonu, żeby podsłuchać, o czym mówią. Ale nie rozmawiały.

Poszłam na górę do biblioteki po książkę. Już nie musiałam udawać, że je odkurzam. Pablo przyłapał mnie na czytaniu *Lolity* i kiedy chciałam ukryć książkę, powiedział: „Możesz czytać, co tylko chcesz, pod warunkiem że odłożysz na miejsce przed upływem tygodnia”. Podniósł palec, gdy mówił, jak podczas głośnego czytania wierszy. „W tej bibliotece jest wszystko, co powinnaś wiedzieć. Znacznie więcej, niż się nauczysz w szkole”.

Trudno mi się było zdecydować. Wyjęłam jedną, przeczytałam kilka linijek i odłożyłam ją z powrotem na miejsce.

– Lubisz czytać. – Victoria stała obok schodów z torbą w ręce. Podeszła bliżej i popatrzyła mi głęboko w oczy. – Co jeszcze lubisz? Kim chciałabyś zostać, gdy dorośniesz?

– Nie wiem – odrzekłam tak samo jak wtedy, gdy pytał mnie Aldo. – A ty?

Roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu. Ten śmiech był podobny do jej ironicznego spojrzenia.

– Ja chciałam być tancerką. I aktorką. Ale mój ojciec powiedział, że jeśli choć raz wyjdę na scenę, zabije mnie. Tak czy inaczej, sam umarł. I mogłam występować. Recytowałam w *Persefonie* Strawińskiego w Teatrze Kolumba. Ale wtedy byłam już za stara, żeby być aktorką, i zostałam wydawcą.

Delia zawołała ją.

– Przywiozłam dwie książki... Skończyłam obie podczas podróży. Tę Huxleya możesz sobie przeczytać. Druga jest dla Delii.

Zesłam, by się pożegnać, ale odwróciła się do mnie plecami i pomachała mi tylko ręką.

U stóp schodów Delia wetknęła jej jaśminową gałązkę w butonierkę żakietu.

– Weźmiesz ze sobą odrobinę mojego ogrodu – rzekła.

Objęły się, a potem popatrzyły na mnie, unosząc końskie szczęki.

– Przypatrz się, Eliso – powiedziała Delia. – Minie wiele czasu, zanim znowu zobaczysz żakiet od Chanel.

Victoria znowu wybuchnęła śmiechem. Bette Davis w filmie *Wszystko o Ewie*. Ale Victoria nie była zła.

– W *Persefonie* też miałam na sobie ubranie od Chanel: suknię z czarnej koronki. To najlepsze wspomnienie mojego życia.

Nie chciałam być aktorką. Po raz drugi zapytano mnie, kim chciałabym zostać, gdy dorosnę. Stałam, patrząc na biblioteczkę. Wyobraziłam sobie własne imię i nazwisko na grzbietach książek. Już wcześniej zaczęłam zapisywać w notesie różne rzeczy: pomysły, krótkie historie, które zdarzyło mi się przeczytać, sonety. Lubiłam skupiać się na rymach, jakby to był problem matematyczny do rozwiązania, ale podobały mi się słowa, nie liczby.

Delia siedziała na kolanach Pabla. Śmiała się – innym śmiechem niż Victoria, przypominał mi chianti, kryształowe kieliszki.

Trzymając się za ręce, poszli na górę, do pokoju. Po raz ostatni widziałam ich wtedy szczęśliwych.

Pablo zachowywał się jak zazdrosny małżonek. To Victoria wywołała tę zazdrość. Z Victorią Delia znów była sobą, przynajmniej na jedno popołudnie: wesoła, promieniejąca. Pablo nadskakiwał jej, dopóki działał czar. Ale Victoria mówiła, że to on jest czarownikiem: wykorzystuje ją i pozbawia sił.

– Jedźmy do Paryża – upierał się.

– Znowu? Nie mogę cały czas podróżować – odburknęła Delia.

Położyłam się, zapaliłam światło. Wraz z ciszą powrócił szum morza. Krew w moim ciele płynęła, naśladowując ruch fal.

Wyjrzałam przez okno. Niebo i morze były czarne, a wysoko w górze błyszczały gwiazdy. Jakie jest niebo nocą w Paryżu? A jakie w Temuco? Moja matka nigdy nie spoglądała w niebo.

6

Od dwóch lat nie mieszkaliśmy razem.

Pablo i Delia przygarnęli mnie w taki naturalny sposób, że ani matka, ani ja nie sprzeciwialiśmy się temu. Matka odeszła, upokorzona kłamstwem Matilde. A Pablo i ja pozwoliliśmy jej odejść. Ja pozwoliłam jej odejść. Spodziewałam się, że Delia po powrocie sprowadzi ją z powrotem. Lecz Delia powiedziała tylko: „Powinnaś była wyjechać z matką”.

Nie chciałam. Nie wiedziałam, jak to wyjaśnić, jak wytłumaczyć sobie to zachowanie.

Zapytałam o to mamę, pragnąc, żeby mi pozwoliła zostać w Isla Negra.

– Mamo, czy chcesz, żebym tu z tobą mieszkała?

Siedziałyśmy w kuchni w Temuco. Juana wcześniej wyszła. Nie patrzyłam na mamę, czekając na jej odpowiedź.

– Elisa – rzekła, choć prawie nigdy nie zwracała się do mnie po imieniu. – Zostań tam, gdzie uważasz, że jest twój dom.

Wstała, podeszła do zlewu i odkręciła kran. Szum wody zdawał się ją uspokajać, ratować przed niebezpieczeństwem, jakby ten dźwięk mógł zagłuszyć wszystko, czego nie chciała słyszeć i widzieć.

Patrzyłam na plecy matki, na jej zapadnięte ramiona. Nie chciałam być taka jak ona. Chciałam być jak Delia. I tylu rzeczy musiałam się jeszcze nauczyć.

Juana wróciła z torbami z supermarketu, przywitała się ze mną chłodno i zabrała się za wkładanie zakupów do lodówki. Gdy matka poszła do łazienki, Juana powiedziała do mnie: „Odpokutujesz za to, co zrobiłaś swojej matce”.

Telewizor wciąż był włączony, wypełniając ciszę. Matka zabrała ze stołu moją pustą filiżankę. Miała przetłuszczone włosy i błyszczące, spuchnięte palce. Poczulałam bijącą od niej woń czosnku i wybielacza. Była to woń biedy i pragnęłam zostawić ją za sobą.

Nie chciałam, żeby mnie odprowadzała. Poszłam, nie oglądając się za siebie. Przebiegłam ulicę dzielącą mnie od dworca, pewna, że matka wciąż stoi w drzwiach, nawet kiedy mnie już nie widzi.

7

Delia szła w stronę kuchni spowita w czarne jedwabne kimono, na którym wyhaftowano kolorowe liście i kwiaty. Kupiła sobie to ubranie w Paryżu. „Ważne, żeby kupować rzeczy w ładnych miejscach – powiedziała mi. – To kimono kupiłam na ulicy Marais i za każdym razem, gdy je zakładam, przenoszę się do tamtego zakątka”.

Rysy twarzy jej się wygładziły, przymknęła oczy. Nie odzywała się. Mogła smarować grzanek przez kilka minut lub równie długo trzymać filiżankę, nie podnosząc jej do ust. Pablo przeciwnie, był spięty i czujny. Wstał od stołu, nie czekając, aż skończymy.

Spojrzałam na jaśminy wędnące pośrodku stołu i pomyślałam: kwiaty można zniszczyć, jeśli się ich dotknie, kobiety wędną, kiedy nikt ich nie dotyka.

– Pora na naszą lekcję francuskiego – rzekła Delia. – A może dziś kolej na angielski? Tak, angielski. Przynies książki, które nam zostawiła Victoria, a ja się tymczasem przebiorę.

Zostały na stole zrobionym z koła sterowego, obok zębów kaszalotów. W rozdziale siódmym drugiej części powieści *Po wielu latach*, na lewym marginesie, Victoria napisała po angielsku: „Inteligencja + dobra wola. A czemu nie miłość?”.

Przez całą jedną stronę *Płci i charakteru* Ottona Weininger wielkimi, czerwonymi literami napisała: *Faux*. Byłam ciekawa, co uznała za fałsz. Przetłumaczyłam: „Wejściu mężczyzn w dorosłość często towarzyszą uczucia odrazy i wstrętu; u kobiet jest przeciwnie – w okresie dojrzewania obserwują one rozwój swego ciała z ekscytacją lub niecierpliwą radością”.

Delia schodziła po schodach, więc zamknęłam książki. Otworzyłam swój zeszyt do angielskiego.

Wtem usłyszałyśmy cichy dźwięk i popatrzyłyśmy na drzwi. Ktoś wsunął pod nie list. Poszłam po niego. „Dla Elisy”, napisano na kopercie okrągłymi literami, a z tyłu: Aldo.

Bez zegara

Tak cię kocham:
dzieląc dzień na dwoje
niczym niebieski owoc.
Nie mają smaku godziny,
aż do stali twych oczu.
Wszystko się więc układa
w przed i po twojej twarzy.

Serce mi podskoczyło w piersi, jakby po biegu. Podeszła Delia. Pokazałam jej wiersz.

- Okropny – powiedziałam.
- Nie wydaje mi się okropny.
- Ckliwy.
- Wiesz, co powiedział Borges? „Ckliwość go okrywa”.

Nie potrzebowałam żadnego okrycia. Poszłam wyrzucić list do kosza, ale już się go nauczyłam na pamięć.

Kiedy wróciłam, Delia spojrzała na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Wzięła mnie pod brodę, drugą ręką uniosła moje włosy i obróciła mi głowę w prawo, a potem w lewo.

- Masz bardzo ładną szyję, ale nie widać tego z powodu długich włosów.
- Obetniesz mi je?

To matka zawsze obcinała mi włosy. „Tylko końcówki”, jak sama mówiła. W ten sposób moje włosy zawsze były takie same: kasztanowe, nieco jaśniejsze latem. Pofalowane, sięgały mi znacznie poniżej ramion. „To z powodu wilgoci” – mawiała mama, która też miała lekko kręcone włosy i w Isla Negra, z wyjątkiem pierwszego dnia, zawsze nosiła je związane. Taką fryzurę miała również w Temuco, gdy ją ostatni raz widziałam. „Muszę do niej pojechać” – pomyślałam.

Delia zawołała mnie ze swojego pokoju:

- Chodź, Eliso.

Łóżko wciąż jeszcze było nieposłane, nie miałam czasu wcześniej przyjść na górę, żeby je pościelić. Odkąd nie było mamy, nie trzymaliśmy się rozkładu dnia. Dla Delii najwyraźniej nie było to ważne.

Posadziła mnie przed swoją komodą i wróciła z łazienki z grzebieniem,

spryskiwaczem na wodę, którego mama używała podczas prasowania, oraz z nożyczkami.

Zrobiła mi pośrodku przedziałek, zmoczyła włosy i rozczesała je ostrożnie z jednej i drugiej strony. Patrzyłam w lustro na swoje odbicie z rozprostowanymi, ciemnymi włosami po bokach twarzy.

Pierwsze cięcie zrobiła na wysokości szczęki i moja szyja natychmiast wydłużyła się o kilka centymetrów.

– Ta linia, idąca od podbródka do szyi, im jest dłuższa, tym lepiej; to linia urody.

Ścięła mi włosy z tyłu, nad ramionami, i poczułam chłód. Uniosłam rękę do odsłoniętego karku. Odniosłam wrażenie, jakby dotknęła mnie dłoń należąca do kogoś innego.

Włosy zaczynały wysychać i układać się w fale, przez co stały się jeszcze krótsze. Poruszyłam głową na boki. Była inna.

Pobiegłam przejrzeć się w moim lustrze, tym od Alda.

Przyłożyłam usta do szkła, otworzyłam je i zamknęłam oczy. Potem rzuciłam się na łóżko, kark opadł na zimną poduszkę. Znowu włożyłam sobie rękę między nogi. Powoli i szybko. Szybko i powoli. Ta obezwładniająca przyjemność odczuwania i jednoczesnego zatracenia się we własnym ciele przypominała wysoką falę.

8

– Przyniosłem list dla pani Delii.

Aldo był bardzo spokojny, gdy na mnie spojrzał. Nie patrzył na moje włosy, patrzył na moją twarz, na szyję – na efekt skrócenia włosów. Nie odzywał się. Czy czekał, aż powiem coś o jego wierszu?

Wzięłam od niego kopertę. Ostatnio to on przynosił korespondencję do Pabla i Delii. Za pierwszym razem powiedział, że listonosz zachorował i poprosił go o przysługę. Potem już nie szukał wymówek.

Chu-Tuh podszedł do drzwi. Stał i lizał mnie po ręce. Aldo spojrzał na psa, na moją rękę i znowu na szyję.

– Dziękuję. Mam dużo roboty – skłamałam.

Nie miałam nic specjalnego do zrobienia, ale nie mogłam tam stać i pozwalać, żeby gapił się na mnie bez słowa.

Weszłam do domu. Na kopercie nie było nadawcy. Na pieczętce widniała data, a poniżej: „Roma”.

– Do mnie? – zapytała Delia.

I wtedy przyszło mi do głowy, że list może zawierać złą wiadomość. W filmach listy zawsze zawierają złe wieści.

Otworzyła kopertę nożykiem, który leżał na kredensie. W środku były książka i list.

Usiadła, przeczytała list i przekartkowała książkę.

Czytała, a po jej twarzy spływały łzy.

– Posłuchaj, Eliso.

Kiedy nie mogę patrzeć na twą twarz,
Patrzę na twoje stopy.

Twoje stopy o wysklepionych kościach,
twe małe, mocne stopy.

– Popatrz na moje stopy. – Zdjęła pantofle i potrząsnęła swoimi dużymi

stopami. – Czekał, słuchaj dalej.

Twą talię i twoje piersi,
podwójną purpurę
twych sutków,
klatkę twych oczu,
które niedawno latały,
twoje szerokie owocowe usta,
rudą kaskadę twych włosów,
moja ty mała wieżo.

– Na pewno się domyślasz, kim jest anonimowy poeta, który napisał ten jakże słaby wiersz.

Podeszłam i pokazała mi okładkę książki, *Wiersze kapitana*.

– Tani wiersz dedykowany taniej kobiecie z kaskadą rudych włosów. – Opadła na oparcie krzesła. – I podczas gdy pisał te wiersze, wysyłał mi fałszywe listy: „Moja Hormiguita, tutaj mam tylko świeższe i chłodne słońce Capri”.

Oczy jej rozbliły i zgasły. Widziałam kiedyś coś takiego w spojrzeniu kota, nocą.

– Wyjeżdżam.

Spojrzałam na nią przerażona. Ona też się wyniesie, tak jak moja matka?

– Nie teraz, Eliso. Potem, kiedy on wróci. Wyjadę do Paryża na jakiś czas. *C'est inexorable*. – Potrząsnęła głową, jakby chciała oddalić złe wspomnienie. – Trzeba jechać do Paryża, gdy jest nam smutno.

– A ja?

– Wszystko będzie dobrze, Eliso. Możesz wrócić do swojej matki. A jeśli nie, też możesz na jakiś czas pojechać do Paryża. *Pourquoi pas?* Mam tam wielu przyjaciół.

Usiadłam obok niej. Objęłam ją. Nigdy się nie przytulałyśmy. Wciągnęłam powietrze w poszukiwaniu jej perfum i wyczułam je, ukryte – najdelikatniejszy zapach jaśminu z drzewną nutą. Zapach ubrań w jej szafie z tamtego popołudnia, gdy się ukryłam, by patrzeć na Matilde i Pabla w łóżku. Może powinnam jej była o tym powiedzieć. Ale wtedy Delia wyjechałaby znacznie wcześniej.

– O czym myślisz?

– O niczym – odparłam.

– Nie można myśleć o niczym. Można tylko nie myśleć, kiedy się z kimś kocha.

Nie mówiła tego do mnie, tylko do siebie, jak zwykle. Przesunęła dłonią po policzku.

– Mija sześć lat, odkąd to ostatnio robiłam, i nie sądzę, żebym jeszcze kiedyś miała okazję.

Oparła głowę na moim ramieniu i zamknęła oczy.

Nigdy nie byliśmy sobie tak bliskie.

Pogładziłam ją po głowie i siedziałyśmy tak przez długi czas.

W końcu się odezwała:

– Idź, przynieś mi papierosy.

Przestawała palić i znów zaczynała, tak jak robiła z malarstwem. Paliła i malowała bardzo dużo, ale równie dobrze mogła całymi dniami i tygodniami obywać się bez tego.

Zadzwonił telefon.

To był Pablo. Chciał z nią rozmawiać.

– Powiedz mu, że poszłam do miasteczka. Powiedz, że nie żyję.

Powiedziałam, że jej nie ma, że wyszła.

Zanim popełniła samobójstwo, Alfonsina Storni wysłała do gazety „La Nación” pożegnalny wiersz: „Aha, i jeszcze polecenie: / jeśli on znów zadzwoni, / powiesz mu, by nie nalegał, ponieważ wyszłam...”.

Bałam się codziennie, gdy Delia rzucała się w morze – nie chciałam, żeby się utopiła jak Alfonsina.

Nie utopiła się. Całą energię włożyła w malowanie i pakowanie swoich obrazów. Te namalowane na papierze włożyła w plastikowe tuby, obrazem do wewnątrz. Płótna – obrazem na zewnątrz, jeśli były namalowane farbami akryłowymi. Zwijała je wokół tekturowego cylindra, który nazywa się duszą, jak twierdziła. Ciekawe, że jej dzieła, pozbawione duszy, rolowało się wokół czegoś o takiej właśnie nazwie.

9

Delia czekała na niego w pokoju, ale gdy usłyszała, że wchodzi, zeszła na dół. Miała na sobie jedwabną sukienkę, która zakrywała jej pomarszczone kolana, i była bosa. Poprzedniego wieczoru ufarbowałam jej włosy. Cokolwiek zamierzała mu powiedzieć, musiała to zrobić teraz, w tym ubraniu i z tą miną. Właśnie tak: prawie młoda, frywolna, obojętna.

Pablo zawołał mnie, stojąc u stóp schodów:

– Eliso, nie przyjdiesz się ze mną przywitać?

Był blady i miał worki pod oczami. Pocałowałam go. Zastanawiałam się, czy się pocałują na powitanie, lecz Delia była bardzo poważna.

Otworzyłyśmy nasze prezenty: dla mnie książka (*Głęboki sen* Raymonda Chandlera), a dla Delii zielony jedwabny szal i płyta Bola de Nieve⁸.

– Dziękuję – powiedziałam i poszłam do swojego pokoju.

Nie zamknęłam drzwi. Zacisnęłam powieki i nadstawiłam uszu.

– Przymierz.

Nic nie odrzekła. Może najpierw wolała przymierzyć zielony szal. Może on właśnie nastawiał na gramofonie płytę Bola de Nieve i wszystko się jeszcze ułoży. Przypomniałam sobie bolero, którego słuchałam z Delią w radiu: „Będę w twoim życiu tym, co najlepsze, / z mgły wczorajszego dnia, / gdy mnie wreszcie zapomnisz, / o ileż lepszy jest wiersz, którego nie umiemy zapamiętać”. Oby tego bolera nie było na płycie.

– „Twoje szerokie owocowe usta, rudą kaskadę twych włosów, moja ty mała wieżo”?

W głosie Delii brzmiały ironia i głęboki smutek.

– Wybacz mi – odpowiedział. – Chodzi o to, że miłość wymaga dużo poświęceń. To sprawa innego rodzaju. Na miłość trzeba zapracować, sama mi to mówiłaś. Ale to ty jesteś Mróweczką, ja nie umiem pracować, nigdy nie umiałem. Nawet nie umiem dbać o kwiaty! Maki zmarniały, gdy tylko wyjechałaś.

Zabrakło mu słów. Otworzył ramiona tym pompatycznym, kapłańskim ruchem, który czasami wykorzystywał podczas swoich wieczorów poetyckich.

Pomyślałam o Victorii, o tym, co powiedziała, kiedy tutaj była.

– Kiedy nie jestem z tobą, wszystko staje się takie trudne, i nagle pojawia się inna kobieta, a wtedy wszystko staje się zbyt łatwe... Nie wiem. Nie wiem, co ci powiedzieć.

– Nic nie mów. Po prostu milcz, jak za każdym razem, kiedy nie chcesz mówić, kiedy rozmowa ci nie pasuje.

– Delio, nie złość się. Spróbujmy jeszcze raz. Ty też najlepiej tworzysz, kiedy jesteś ze mną. Patrz, patrz na te obrazy, które zaczęłaś teraz malować.

Na sztalugach stało jej ostatnie płótno. Kolejny koń, tyle że jakby poniósł, zdawał się wyrywać z obrazu. Nowe konie Delii nie mieściły się na płótnie, były ogromne jak jej żal.

– Kim jest ta kobieta?

– Nikim.

– Nie kłam. Sam sobie przeczytaj.

Usłyszałam szelest rozkładanej kartki. Minęły trzy minuty ciągnące się jak wieczność.

– Kto to do ciebie napisał?

– Nikt. Anonimowy list o anonimowej książce.

– To Matilde, dziewczyna, która ci prasowała bluzki w Meksyku...

– Teraz rozumiem. W tych podróżach ona się pojawiała i była dla ciebie... Oszukiwałeś mnie przez cały ten czas.

– Ostatecznie – zaczął Pablo, najwyraźniej odzyskując głos i bojąc się tego, co Delia zaraz powie – zrobiła to samo co ty. Nie byłem sam, kiedy przybyłem do Madrytu, miałem żonę. Olbrzymka była w ciąży. Wiedziałaś o tym. I weszłaś mi do łóżka. Albo wciągnęłaś mnie do swojego.

– To, co właśnie powiedziałaś, jest... wulgarne. Ta kobieta jest wulgarna.

Ja wiedziałam to wcześniej, ale nie znalazłam właściwego słowa. Delia nawet na zakończenie miłości musiała znaleźć odpowiednie słowo.

10

Natychmiast odwróciłam się do okna, by Delia nie widziała, że płaczę. Niebo było białe. Wszystko wskazywało na to, że lada chwila się rozpada. Nie będę płakać.

Postawiła walizkę w progu. Usiadła obok mnie na łóżku i powiodła wzrokiem po pokoju: po regale z muszlami, lustrze.

– Eliso – odezwała się – co mogłabym ci zostawić, żebyś o mnie pamiętała?

Nie chcę, żebyś mi coś zostawiała. Chcę, żebyś została.

– Twoje perfumy?

Uśmiechnęła się. Wyglądała na bardzo zmęczoną, jakby wróciła po długiej podróży, choć jeszcze w nią nie wyruszyła.

– Mogłabym ci je zostawić, ale nie wydaje mi się stosowne, żebyś ich używała. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Wybór perfum wymaga sporo czasu, podobnie jak znalezienie własnego tonu głosu.

Jej głos. Też kiedyś chciałabym mieć taki głos jak ona.

– W takim razie kapelusz?

– Dobrze. Zostawię go w szafie.

– Tylko go od ciebie pożyczę. Do czasu, aż wrócisz.

Wróci za kilka miesięcy, powiedziałam sobie. Wróci dla Pabla. Dla mnie.

11

Zakładałam ten kapelusz codziennie przez całe ciągnące się w nieskończoność lato. Jednakowe dni mijały bez niespodzianek. Co dzień po śniadaniu chodziłam do pokoju Pabla i porządkowałam papiery na biurku, po czym ścieliłam łóżko.

Po ostatniej nocy spędzonej z Delią Pablo napisał:

Zdarzyło się jednak, że ta,
co mnie przeskoczyła jak fala,
co znaczyła nie więcej
niż smak wieczornego owocu,
zatrzepotała jak gwiazda,
zapłonęła w powietrzu jak gołąb
i znalazłem ją w mojej skórze
szerzącą się radośnie
jak stos z rozwianym włosem⁹.

Wiersz nie był dobry. Tak samo jak nie były dobre te, które napisał później, kiedy Matilde już na stałe zakotwiczyła w Isla Negra, z dwiema walizkami i dwiema torbami, które Pablo przywiózł samochodem.

Kochamy każdy drobny gest u osób drogich naszemu sercu; nienawiść jest równie skrupulatna. Ja nienawidziłam plamy na łydce i śmiechu nowej pani domu – pierwszych szczegółów, które przykuły moją uwagę. Ale nie cierpiałam też jej lakieru do paznokci w kolorze fuksji, przesadnego kołysania biodrami, małego palca sterczącego wyzywająco, kiedy trzymała filiżankę, a zwłaszcza jednego odrażającego zwyczaju: kiedy Pablo nie widział, wahała własny oddech, wykrzywiając przy tym usta.

12

Czasami życie jest nagromadzeniem nieszczęść. A my możemy tylko siedzieć spokojnie i czekać. Jakbyśmy się znaleźli w wirze huraganu bez dachu nad głową, bez schronienia. Tak właśnie myślę teraz i jest to kiepska metafora. Nie ma metafor dla śmierci.

Przyjechałam do Temuco po południu. Mama nie wyszła po mnie na dworzec.

Niebo było fioletowoszare, silny wiatr porywał suche liście. Zobaczyłam dwie błyskawice i zaraz potem zagrzmiało. Szłam coraz szybciej. Nie chciałam, żeby mnie złapał deszcz, jakby kierowało mną złe przeczucie.

Poprzedniego wieczoru zadzwoniła Juana.

– Twoja matka nie czuje się dobrze. Musisz przyjechać.

– Co się dzieje?

– Przyjedź. Najlepiej od razu do szpitala.

– Miała wypadek?

– Nie. Nie martw się, ale przyjedź jak najszybciej.

Szpital znajdował się koło dworca. Byłam w nim wiele lat temu. Zaszczepili mnie wtedy i na ramieniu została mi biała blizna.

Mama leżała w sali numer trzynaście, na pierwszym piętrze. Na korytarzu siedzieli chorzy na wózkach inwalidzkich, ich krewni osłaniali się wachlarzami, pielęgniarki śpieszyły dokądś bezszelestnie w tych swoich białych butach podobnych do pantofli. I ta woń, mieszanina alkoholu i wybielacza.

Patrzyłam na jej zamknięte oczy i wygładzoną skórę, bez zmarszczek. Wyglądała tak młodo. Ale jej włosy... Kiedy je straciła? Zostało tylko parę kosmyków przylepionych do czaszki.

Podeszłam, pocałowałam ją i odetchnęłam z ulgą, czując ciepło skóry jej twarzy. Z lewej ręki wystawał wenflon połączony z rurką kroplówki.

– Cześć, mamó.

Uśmiechnęła się do mnie i uścisnęła mi dłoń. Spojrzała na siedzącą obok niej Juanę, jeszcze raz na mnie i zamknęła oczy. Leżąca na łóżku obok

zasuszona staruszka zaczęła jęczeć.

– Siostro!

– To się powtarza przez cały dzień – powiedziała Juana.

Dałam jej znak, żebyśmy się nieco oddaliły. Nie chciałam, żeby mama nas usłyszała.

– Co jej jest?

– Ma raka.

– Od kiedy? Czemu mi nie powiedziałaś?

– Zabroniła mi. Po tym, jak ją ostatni raz odwiedziłaś, po ostatniej chemioterapii, pogorszyło się jej.

Juana zaczęła płakać, wyjęła z kieszeni pogniecioną chusteczkę i przyłożyła ją sobie do twarzy.

– Kazali jej odpocząć od chemii.

Odpocząć od chemii? Słowa i cały świat straciły dla mnie znaczenie.

– Lekarz jej powiedział, że musi minąć miesiąc, zanim zdecydują, czy dalej ciągnąć chemioterapię. Zapytała go: „Czy wypadną mi wszystkie włosy?”. „Tak”, powiedział, „ale nie tym należy się przejmować”.

Juana znów wybuchła płaczem. Kiedy płakała, podnosiła głos i musiałam ją uciszać.

– Przyszłam z nią – zniżyła głos – po wyniki ostatniego badania. Rak zajął już całe ciało.

Nie mogłam uwierzyć, że oto choroba dopadła matkę, która nigdy nie miała nawet grypy, nigdy się na nic nie skarżyła. Ta nieznana mi kruchość sprawiła, że przypomniałam sobie, jaka była w pełni sił. Jeśli ona zachorowała, niczego nie mogłam już być pewna.

– Rak czego? – zapytałam, jakby to było ważne.

– Płuc.

Słyszałam, że ten rodzaj raka dotyka tych, którzy dużo palą, a przecież mama nigdy nie paliła. Pablo cały czas ćmił swoją fajkę i nawet nie zakaszał.

Juana wydmuchała sobie nos. Podeszłam do mamy i powiedziałam jej do ucha:

– Zaraz przyjdę.

Wyszłam na zatłoczony korytarz. Ludzie obejmowali się, niektórzy się śmiali. Miałam ochotę ich pobić.

Dotarłam do końca korytarza. Za drzwiami z mlecznego szkła była kaplica.

Przestałam chodzić do kościoła, kiedy matka wyprowadziła się z Isla

Negra. Weszłam do kaplicy i uklękłam w pierwszej ławce. Patrzyłam na Maryję stojącą z rozpostartymi ramionami, w niebiesko-białym płaszczu. Chciałam, żeby moja mama żyła znacznie dłużej, choć trochę dłużej, chciałam jej tyle powiedzieć i zapytać ją o tyle rzeczy. Po prostu z nią być, żebyśmy we dwie siedziały w kuchni w Isla Negra albo w Temuco, w jakiegokolwiek kuchni. Zamknęłam oczy i modliłam się: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje”. Mama mi mówiła, że zawsze modli się do Maryi, ponieważ Najświętsza Dziewica jest kobietą i matką i przez to może ją lepiej zrozumieć. Modliłam się więc i ja: „Zdrowaś Mario, łaski pełna, Pan z Tobą”. A potem: „Niech mama żyje, niech mama żyje, niech mama żyje”. Otworzyłam oczy i wydawało mi się, że Maryja uśmiechnęła się do mnie.

Wróciłam pośpiesznie do sali. Staruszka wciąż jęczała, ale ona już swoje przeżyła. To moją matkę trzeba było ratować.

– Jak młodo wygląda – zwróciłam się do Juany. Powiedziałam to głośno, żeby mama słyszała.

– To z powodu lekarstw. Dają jej sterydy.

Wtedy zobaczyłam zapadnięte policzki, usta w postaci cienkiej linii, obojczyki widoczne spod szpitalnej koszuli, kości rąk, fioletowy siniec w miejscu, gdzie w ręce tkwił wenflon.

Znowu pocałowałam ją w policzek, w meszek na jej czaszce. Włosy mojej matki – jedyny przejaw kokieterii, umyła je sobie w deszczówce, kiedy po raz pierwszy jechałyśmy do Isla Negra. Rozpuściła je na tę okazję. Dla Pabla.

– Mamo, byłam się pomodlić w kaplicy szpitalnej. Modliłam się do Maryi. Wyzdrowiejesz.

Otworzyła oczy.

– Jak miło. – Uśmiechnęła się i znów je zamknęła.

Podeszła do niej Juana i pocałowała ją w czoło.

– Raquel, zostawię cię na jakiś czas z Elisą. Pójdę do domu, żeby skończyć zlecenie. Niedługo wrócę.

Usiadłam koło mamy i wzięłam ją za rękę. Jak wtedy, gdy byłam małą, w Temuco. Nie mogłam zasnąć i wołałam ją ze swojego pokoju. Przychodziła i nic nie mówiąc, siadała na krześle obok mojego łóżka i trzymała mnie za rękę, a ja ścisakałam ją mocno, żeby odegnać koszmary, aż wreszcie zasypiałam.

Oparłam się na krześle i w pewnym momencie przysnęłam.

Poczułam zimną rękę matki zaciśniętą na mojej. Dotknęłam jej lodowatej twarzy. Pacjentka obok jęczała teraz głośniejsze. Chciałam, żeby umarła. Ale to nie ona odeszła z tego świata, tylko moja matka. Objęłam jej ciało i zapłakałam. Szlochałam i szlochałam. Niemym, głuchym płaczem. Zbyt długo czekałam na łzy. Uważałam, że nie potrzebuję matki. Że mogę żyć bez niej. Ona sama nie zrobiła nic, żeby temu przeszkodzić, by mnie powstrzymać.

Juana stała nieporuszona w drzwiach sali, z torebką na ramieniu i plastikową torbą w ręce. Upuściła je na podłogę. Podeszła do mojej matki i padła na jej ciało.

– Raquel. Raquel! – krzyczała. – Nie chciała, żeby ci mówić, nie chciała. W końcu zgodziła się: „Powiedz jej tylko, że jestem delikatniutkiego zdrowia”.

„Delikatniutkiego”. Ileż czułości miało to zdrobnienie w ustach mojej matki tuż przed śmiercią.

Już nie miałam matki, nie miałam matki nigdzie na świecie. Nieważne, dokąd pójde. Gdzie miałabym się schować z tym ogromnym bólem? Nie umiałam cierpieć, cierpienia nie było wśród rzeczy, których mnie nauczyła. Nikt mnie go nie nauczył. Czy cierpienia też można się nauczyć z książek?

– Chcę stąd iść – powiedziałam Juanie.

– Muszę ci najpierw coś dać.

Poszukała w swojej torebce i podała mi kopertę z napisem „Dla Elisy”. W środku była kartka.

– To numer konta bankowego na twoje nazwisko.

Znow odniosłam wrażenie, że mówi do mnie w jakimś innym, niezrozumiałym języku.

– Powiedziała mi, żebym ci przekazała, że nie ma tego dużo, ale może ci się przyda na podróż do Paryża.

Schowałam kopertę do torebki.

– Zaczekaj, jeszcze to.

Kolejna koperta, większa, z papieru pakowego.

– Zdjęcia – rzekła.

I dała mi jeszcze jedną kopertę, małą, białą, na której też napisano „Dla Elisy”. Była zamknięta. Trzy koperty.

Znowu objęłam matkę. Była zimniejsza.

Ktoś zapalił światło w sali. W sztucznym świetle skóra matki przybrała szary odcień.

– Mamusiu – szepnęłam. Ucałowałam jej powieki. Podniosłam jej rękę i przyłożyłam sobie do twarzy. Świat się zatrzymał i powrócił ból.

– Muszę iść, Juana.

Ale nie mogłam ruszyć się z miejsca.

– Co trzeba teraz zrobić, po...?

Nie chciałam wymawiać żadnego z tych słów, nie chciałam powiedzieć „zwłoki”, „prochy”, „cmentarz”.

– Nie mogę tego zrobić. Mogłabyś zająć się tym sama?

Juana skinęła głową, zagryzła zęby na chusteczce i znowu zaczęła płakać, tym razem bardzo cicho.

13

Florencio popatrzył na mnie, jakby zobaczył ducha.

– Co się stało, Eliso?

– Nic. – Poprawiłam sobie ręką włosy, a przed oczyma wciąż miałam nieżywą matkę. – Muszę porozmawiać z Aldem.

– Z Aldem? Moim synem? – zapytał zdziwiony. – Jest w domu. Zamknę i pójdziemy do niego.

Przeliczył pieniądze w kasie, po czym ją zamknął.

Na ulicy nie było nikogo. Szliśmy w milczeniu. Nie odrywałam wzroku od drogi. Znów zaczął narastać we mnie ból, od żołądka po głowę i ręce, przypominał wielkie kolczaste pnącze.

Podczas podróży powrotnej obejrzałam zdjęcia: moja matka za młodu, ze mną w ramionach. Długie, lśniące włosy. Jej twarz tuż obok mojej. Ja na rowerku, z dwoma warkoczykami. Ja na jej kolanach, w przedszkolnym fartuszku, a ona otwiera prezent. Moja matka szczęśliwa. Ja też. Na żadnym z tych zdjęć nie było mojego ojca. Może, pomyślałam, to on zrobił te wszystkie zdjęcia. Nie otworzyłam trzeciej koperty.

– Wejdz – powiedział Florencio.

Dotarliśmy do białego domu z ogródkiem od frontu.

– Zaczekam tu – rzekłam.

Aldo wyszedł od razu. Popatrzył na mnie wystraszony. Doskonale widział mój ból, jak otwartą ranę na czole.

– Moja mama.

Stał w milczeniu, z zaciśniętymi pięściami.

– Chodźmy na plażę – poprosiłam.

– Zaraz przyjdę. – Wszedł do domu i wrócił z niebieską kurtką, którą zarzucił mi na ramiona.

Poszliśmy nad morze. Niebo było rozgwieżdzone. Co za niesprawiedliwość, pomyślałam, tyle gwiazd, a moja matka nie żyje.

Aldo położył mi rękę na ramieniu i szliśmy brzegiem morza. Jak wcześniej Delia i Pablo. I wtedy to zrobił – położył dłoń na moim karku.

Wzięłam go za rękę i poprowadziłam za skały. Dostrześliśmy przemykającego szczura.

Zdjęłam kurtkę i rozpostarłam ją na zimnym piasku. Aldo usiadł obok mnie. Spojrzałam na niego i w jego oczach znów pojawił się strach. Zdecydowałam, że to ja muszę zrobić to, co powinien zrobić on.

Wzięłam jego twarz w dłonie i przytknęłam usta do jego ust. Miał suche i trochę spierzchnięte wargi, jak kawałki papieru ściernego, których używał do wygładzania drewna. Całowaliśmy się powoli, zbliżając i oddalając usta, a potem z języczkiem.

Wcześniej o tym czytałam – zaczęłam rozpinać jego koszulę. Patrzył na moje szybkie palce, na własne ciało, jakby należało do kogoś innego.

Był szczupły, nie miał włosów na piersi jak Pablo. Dotknęłam jego ramion. Uczepiłam się ich, jakbym była na drabinie. Poczułam chłód i przytuliłam się do niego. Znów zaczęliśmy się całować. Wnętrze jego ust było słone, nie smakowało jak wino, tylko jak morze.

Włożył mi palce za dekolt, musnął grzbietem dłoni raz i drugi, po czym wsunął mi ręce pod bluzkę, powiódł po wcięciu w talii, po plecach. Ból oddalił się jak morze podczas odpływu. Palce Alda znalazły się pod moim stanikiem, pocierały mi sutki i wkrótce poczułam wilgoć między nogami. Nie była to krew.

Wyciągnęłam się na kurtce, on położył się obok mnie i całowaliśmy się. Ręce, skóra, palce. Zdjęłam bluzkę, on mocował się z zapięciem stanika, aż je urwał. Spojrzał na moje piersi. Przysunął usta najpierw do jednej, potem do drugiej, a ja chwyciłam go za włosy, lśniące i ciemne. Szybkim ruchem nóg zdjęłam majtki i zrzuciłam buty. Włożyłam sobie jego rękę między uda. Poruszał palcami w środku, we mnie, tak jak wiele razy robiłam sama. Powoli, daleko, blisko.

Jęknęłam. I jeszcze raz, głośniej. Mogłam umrzeć, chciałam umrzeć. Rozpięłam jego pasek i guzik od spodni, i zamek od rozporoka. On zrobił resztę, zdjął spodnie i majtki. Pocałował mnie w szyję, w usta, jakby sobie przypominał, że powinniśmy się znów całować. Otworzyłam powieki i spojrzałam mu w oczy. Wszedł we mnie i krzyknęłam. Ten ból był tak słodki. Ból, który wymazywał wszelką inną boleść.

– Boli cię? – zapytał.

Nie, nie bolało.

– Nie przerywaj.

I nie przerywał. Przeniosłam się w jakieś inne miejsce, oddaliłam od świata, od życia, od śmierci.

Patrzyłam na jego powieki, na piegi pod rzęsami. Zaczął się poruszać szybciej, głębiej. Krzyknął głucho, a potem jego ciało zaciążyło na moim. Opadł na piasek obok i wziął mnie za rękę.

Znowu poczułam strużkę cieczy spływającą mi po nogach.

– Nie bój się – powiedział. I zlizął krew z moich ud.

Nogi mi zdrętwiały. Aldo odsunął się na bok i pocałował mnie w ramię.

Już był tak daleko ode mnie.

Znajomy zapach dotarł do moich nozdrzy. I nagle wrócił ból. Ogłuszający szum morza, zapach seksu. I ból. Moja głowa i moje ciało z kruszonego szkła.

Nie chcę go nigdy więcej widzieć, pomyślałam. Nie chcę, żeby mi przypominał o śmierci matki.

Szłam bardzo szybko. Puściłam rękę, którą podał mi Aldo. Próbowałam zostawić go z tyłu, ale na próżno, wciąż był tuż za mną.

Zatrzymaliśmy się u wylotu dróżki w Isla Negra.

– Idź już – rzekłam.

Pogładził mnie po włosach. Pocałował w czoło, jakbym była świętym wizerunkiem. Maryją Dziewicą ze szpitalnej kaplicy, z jej fałszywym uśmiechem – wiedziała, że moja matka umrze.

W domu paliły się światła. To nierealne, pomyślałam.

Wyglądał jak domek dla lalek.

14

Pablo też wyglądał jak kukła. Siedział na kanapie w piżamie, ze szklanką w ręce, a przed nim stała pusta butelka po whisky. Wypił, co zostało na dnie, po czym odezwał się, nie patrząc na mnie:

– Chodź, Eliso. – Poklepał kanapę, jak to robił, kiedy chciał, żeby Matilde albo Chu-Tuh podeszli do niego.

Kiedy usiadłam, wstał i poszedł po drugą szklankę i nową butelkę.

Whisky kapiąca do szklanki, jak w klepsydrze. Jaki był dzień? Ile czasu minęło, odkąd mama umarła?

Pablo miał zaczerwienione oczy, jak wtedy, gdy wychodził z morza po kąpieli.

– Wypij wszystko – rzekł, jakby to było lekarstwo. Może zresztą było i ból po nim miał zniknąć.

Napój spłynął mi do gardła. Jednocześnie uderzył do głowy i dotarł do żołądka, poczułam, że ciało rozgrzewa się jak podczas wysokiej gorączki.

Znowu napełnił szklanki – swoją i moją. Tym razem piłam powoli, zamknawszy oczy. Wielki pożar pustoszący puszcę.

Głowa opadła mi na jego ramię, jakby ją ucięto.

Objął mnie, poczułam jego rękę na plecach, a potem zapach whisky na twarzy. Ukrył twarz w moich włosach.

Leżał po drugiej stronie kanapy. Miał półotwarte usta, jakby nie żył.

Zaniosłam szklanki do kuchni, umyłam je i wytarłam. Wzięłam pustą butelkę i wyrzuciłam do kosza.

Poszłam do łazienki i pozwoliłam, żeby letnia woda spływała mi po twarzy i ciele. Długi czas spędziłam z zamkniętymi oczami pod strumieniem wody.

Przebrałam się w koszulę nocną i położyłam do łóżka. Świtało już, ale postanowiłam zasnąć, na zawsze. Gdy się obudzę, zdołam jeszcze pomyśleć, będę gdzieś indziej.

III

1

Z mojego okna w domu Berthe widać było paryskie niebo, o którym tyle mówiła Delia. Niebo, którego mojej matce nigdy nie było dane zobaczyć.

Spędzałam długie godziny, leżąc w łóżku. Niebo zmieniało kolor. Czasami budziłam się i była noc. Otwierałam torebkę, wyjmowałam kopertę i czytałam znowu: „Pablo jest twoim ojcem”. I drugą kopertę, ze zdjęciami. Trzy zdjęcia i cztery słowa.

Zamykałam oczy, okrągłe litery pojawiały się raz po raz, czarne na białym, białe na czarnym, aż zamazywał je sen.

2

Berthe zapukała do drzwi. Podeszła do mojego łóżka z tacą, na której stały filiżanka herbaty i talerz okrągłych, kolorowych słodkości.

Tace przynoszone przez Berthe odmierzały czas. Zmuszała mnie do jedzenia, a jej białe tabletki sprawiały, że zasypiałam.

– Dość już spałaś, Eliso – powiedziała. – *Macarons*. Nigdy ich jeszcze nie jadłaś.

Makaroniki przypominały mi jej okulary. I wtedy uświadomiłam sobie, że Berthe nie ma ich na nosie. Miała małe, puste oczy.

– A twoje okulary?

– Już mi niepotrzebne, i tak nic nie widzę.

Wstałam z łóżka i podeszłam do niej. Wzięłam ją za rękę. Wyrwała mi się.

– Znam ten dom na pamięć. Nie traktuj mnie jak ślepej. – Zadarła głowę. Taka wysoka i nagle tak wąta. – Ale jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

Spojrzałam na nią ze strachem. Zrozumiałam z całą wyrazistością, że w ciągu ostatnich dni zostałam porzucona – dlatego Delia mnie tu przysłała. Takie będzie moje życie w Paryżu: będę służącą u Berthe, jak moja matka była służącą u Pabla.

– Chodź – rzekła.

Poszłam za nią. W korytarzu minęłyśmy się z kobietą w białym fartuchu. Nigdy dotąd jej nie widziałam, ale odkąd przyjechałam, prawie wcale nie wychodziłam ze swojego pokoju.

– To Laurence, moja asystentka. Laurence, panienska jest przyjaciółką pani Delii.

– *Ah bon.*

– Mówi też doskonale po francusku, lepiej niż ja będę kiedykolwiek mówić po hiszpańsku. Delia jest doskonałą nauczycielką, tylko ze mnie taka kiepska uczennica.

Kobieta pochyliła głowę na znak czegoś w rodzaju szacunku. Spojrzałam na jej ręce – błyszczące i zaczerwienione jak u mojej matki.

Znalazłyśmy się w dużym, pełnym światła pokoju. Pod ścianą z wielkim

oknem stało łóżko, były też duże biurko i bujany fotel, a dwie pozostałe ściany zasłonięto regałami pełnymi książek. Na szynie przesuwano się drabinę, po której można się było dostać do najwyższych półek.

– Chcę, żebyś mi poczytała.

Podeszła do fotela na biegunach. Myślałam, że w nim usiądzie, ale stanęła za nim, odstępując mi to miejsce.

Ze stolika nocnego wzięła książkę. *Tajemnicze Buenos Aires*.

– Podarowała mi ją Delia. Przeczytaj mi, proszę, *Znakomitą miłość*. To ostatnie opowiadanie, które przeczytałam sobie sama.

Usiadła, opierając się plecami o baldachim łóżka, i zamknęła oczy. Czy z zamkniętymi powiekami jej ślepotą była ciemniejsza?

Mój głos, początkowo stłumiony, w miarę zagłębiania się w opowieść stawał się coraz bardziej wyrazisty, jakbym schodziła do studni, by zaczerpnąć świeżej wody. Głos wypełniał moje ciało, pokój, być może nawet oczy Berthe.

Pewna stara panna żyła niezauważana przez swoich krewnych i sąsiadów do czasu, gdy niepokieszona wybuchnęła płaczem na pogrzebie wicekróla. Wszyscy pomyśleli, że była jego kochanką, i to odmieniło całe jej życie. Choć tak naprawdę nigdy nie widziała monarchy.

Jak mogłam tyle czasu wytrzymać bez czytania? Moją głowę zapełniły obrazy. Z tej opowieści, ale także z innych, które czytałam dawniej. Dziewczynka z powieści Carson McCullers – mała pianistka, która straciła talent, jej palce kleiły się do klawiszy jak rozgotowany makaron. Przekonany o własnej nieśmiertelności chłopiec z *Obozu indiańskiego* Hemingwaya, który rysuje na wodzie smugi, podczas gdy jego ojciec wiosłuje.

Wodorosty na brzegu morza w Isla Negra, lustro wody na piasku. Litery mamy: „Pablo jest twoim ojcem”.

3

Paryż odwracał pory roku z Isla Negra. Przemierzałam miasto, nie patrząc na nie, przechodziłam z jednego brzegu Sekwany na drugi, po czym wracałam na Boulevard Saint-Germain, do domu Berthe. Nie robiłam nic więcej, tylko czytałam i pisałam, w swoim pokoju i w paryskich kawiarniach, wymyślałam historie, które zawsze kończyły się źle.

Poświęcałyśmy trochę czasu każdemu pisarzowi. To był pomysł Berthe. Czasami wciągałam ją w pułapkę i czytałam jej któryś ze swoich tekstów.

– Nie przypominam sobie takiego opowiadania Czechowa – dziwiła się. – W której to książce?

– W antologii.

– To mało wiarygodne. Jeżeli kobieta spotyka w pociągu mężczyznę swojego życia, zostawia wszystko i idzie za nim.

Postanowiłam więc wymyślić dla niej pisarkę. Josefina Linares. Zapewniłam, że znalazłam ją w bibliotece ambasady argentyńskiej.

Komentarze, które w książkach zostawiał Pablo, nauczyły mnie czytać. Ale to Berthe nauczyła mnie pisać. Od niej dowiedziałam się na przykład, że wszystkie szczegóły opowieści, wszelkie opisy, powinny być spójne. Jakby się wymyślało z detalami świat ograniczony do przestrzeni noweli.

Pewnego dnia, kiedy Berthe poznała już dwanaście opowiadań Josefiny Linares, przyszła do niej na drugie śniadanie kobieta ubrana po męsku. Miała spodnie i marynarkę, wielkie cygara oraz poważny, chropawy głos, co w zdumiewający sposób czyniło ją bardziej kobietą.

– Marie jest wydawcą z Rivières.

Znałam to wydawnictwo. Publikowało autorów skandynawskich, azjatyckich i latynoamerykańskich. Na okładkach widniały wzory geometryczne lub kwiatowe.

– Mówiłam Marie o Josefynie Linares, ale jej nie zna. Obiecałam, że pożyczysz jej tę książkę.

Berthe podczas rozmowy zwracała się na przemian to do mnie, to do Marie, jakby nie była niewidoma, i pomyślałam przez chwilę: w tym też jest

oszustwo.

Po południu Marie wzięła mój zeszyt.

– Przeczytam z dużym zainteresowaniem.

Mówiła po hiszpańsku z francuską intonacją, z gładkością i precyzją, które odzwierciedlają sposób, w jaki Francuzi podchodzą do każdego tematu. Jej wymowa różniła się od argentyńskiego akcentu Delii i Victorii, miała taką szczególną melodię, która zdawała się głosić między słowami: to nieważne, nic nie jest ważne.

4

Jestem pewna, że to zostało ukartowane: Berthe zadzwoniła do Philippe'a, żeby przyszedł do niej, a mnie kazała otworzyć drzwi. Była już niewidoma, a niewidomi nie potrzebują okulisty. Może wyczuła, że zaczęła mnie męczyć posada lektorki. Miałam w końcu osiemnaście lat. Berthe powiedziała mi raz, podczas drugiego śniadania: „Wiele kobiet w twoim wieku jest już mężatkami”. Delia wyszła za mąż w wieku trzydziestu sześciu lat i to był jej pierwszy mąż. Victoria w wieku dwudziestu dwóch, żeby się cieszyć wolnością i móc podróżować.

Przedstawiliśmy się sobie i wymieniliśmy uściski dłoni. Miał duże, zimne ręce, bardzo gładkie. Przy pożegnaniu przysunął się niezgrabnie i pocałował mnie w oba policzki. „Chce się wydawać młodszy” – pomyślałam. I spodobał mi się szorstki dotyk jego twarzy.

Później Philippe powie mi, że się zakochał w moich oczach. W czym innym mógłby się zakochać okulista?

Śnił mi się tamtej nocy – miał na sobie biały lekarski kitel (choć do Berthe przyszedł w tweedowym garniturze, podobnym do tych, jakie nosiła Marie) i gładził oczy ułożone w rzędzie na drucianym meblu. Oczy obracały się na zębatym mechanizmie.

5

Moje prawe oko, spuchnięte i bez makijażu. Berthe powiedziała, żebym go nie malowała, bo się pogorszy. I zamówiła mi wizytę u Philippe'a. W jego gabinecie.

Philippe pochylił się nad moją twarzą z podświetlaną lupą. Mocno wciągnęłam powietrze: nie pachniał niczym.

– Teraz zmierzę ciśnienie wewnętrzzgałkowe.

Gdy się odezwał, poczułam woń jego oddechu. Czuć go było destylowanym alkoholem. Znów się nade mną pochylił i wkropił mi coś do oka.

Wskazał duży aparat z dwoma umieszczonymi naprzeciw siebie krzesłami. Usiedliśmy, każde po swojej stronie przyrządu w rodzaju lornetki, i przybliżyliśmy twarze do wizjerów. Dzieliły nas tylko centymetry i zastanawiałam się, czym ja pachnę. Trudno mi było patrzeć bez spuszczenia wzroku – kontakt był zbyt intymny. Choć nie widziałam jego oczu, tylko białe światło, on patrzył w głąb moich. Chciałam, żeby już przestał.

– Przepiszę pani krople – rzekł w końcu.

Wstał i poprosił mnie, żebym podeszła do biurka. Zapisał coś na karteczce.

– Dlaczego tak mi spuchło? – zapytałam. – Za dużo czytam?

Roześmiał się po raz pierwszy.

– Nie... Maluje się pani?

– Tak.

– Może jakiś przeterminowany kosmetyk.

– To kosmetyki mogą się przeterminować?

– Tak, mają datę przydatności do użycia. Zwłaszcza cienie i kredki do oczu.

Pierwszą kredkę do oczu kupiłam sobie dopiero w Paryżu. Malowałam się tak jak Delia, przesuwałam ołówkiem raz i drugi po linii rzęs. Żadna dziewczyna w moim wieku tak nie robiła.

– Lubi pani czytać?

– Ja? Tak...

– Co pani czyta?

– Powieści. Opowiadania.

Skinął głową. Obracał pióro w dłoniach. Wręczył mi receptę i krople.

– Jedna kropla co cztery godziny – rzekł. A potem dodał: – Ja lubię powieści detektywistyczne.

Utkwił we mnie wzrok. Tym razem nie było między nami żadnego aparatu. A to, co właśnie powiedział, było najbardziej osobistym wyznaniem, na jakie ten nieśmiały mężczyzna mógł się zdobyć.

– Ja też. W rzeczywistości każda dobra historia ma w sobie coś z opowieści detektywistycznej.

Gdzieś to przeczytałam. Wstałam. Wizyta u lekarza dobiegła końca.

Odprowadził mnie do drzwi. Wyciągnęłam do niego rękę, a on, jak w domu Berthe, pochylił się – był bardzo wysoki – i pocałował mnie w oba policzki.

Podeszłam do jego sekretarki, kobiety o wielkich piersiach, które mi przypomniały o Matilde. On dał jej ręką jakiś znak.

– Opłata jest już uregulowana – powiedziała sekretarka, patrząc na mnie z zaciekawieniem, a może z zazdrością.

Na ulicy, zanim zesłam na Gare de Lyon, żeby wsiąść do metra, wkropiłam sobie dwie krople do oczu. Philippe pachniał tymi kroplami, które mi przepisał.

6

Na pierwszej randce zauważyłam, że nie oblizał łyżeczki po pomieszanu kawy; Delia by to pochwaliła.

– Podobają mi się powieści detektywistyczne, w których najmniej ważny jest sprawca. Dialog, zdanie, czasem nie przypominam sobie nic więcej. „Ale pan wysoki!”, „To nie moja wina” czy „Trupy bywają cięższe niż złamane serca”. To z Chandlera.

Za dużo mówił. Patrzył na mnie jak przez te lornetki w swoim gabinecie.

– Przede wszystkim podoba mi się Simenon – powiedział miękko, jakby się bał, że się mi sprzeciwi.

Simenon miał poczucie humoru, a on najwyraźniej nie. Może na tym kończy się wszystko, co mogłoby nas łączyć: brak poczucia humoru i upodobanie do powieści detektywistycznych. Ponadto nurkował dla sportu. Zanurzał się w głębinach oceanu w czarnym, przylegającym do ciała kostiumie, z butlą tlenu na plecach, i oglądał ryby. Jakże to egzotycznie brzmiało tu, na Boulevard Saint-Germain.

Nie pociągało mnie nurkowanie, tylko morze. Lubiłam patrzeć na jego zmieniającą się powierzchnię, nie interesowało mnie od środka. Może, pomyślałam, tak samo traktuję ludzi?

Mimo swojego wieku – pięćdziesiątki? sześćdziesiątki? – Philippe miał dobrze zarysowane ramiona i płaski brzuch. Musi być bardziej atrakcyjny nago niż w ubraniu, przyszło mi do głowy. I zdumiała mnie własna myśl.

Zapytałam go, co robi, gdy nie pracuje, oprócz nurkowania. Uniósł brwi. Nie prowadził bujnego życia towarzyskiego. Był zmęczony widokiem wielu ludzi. Bywały dni, kiedy przez jego gabinet przewijało się dwadzieścia osób. Jedna co piętnaście minut. (Ja siedziałam tam znacznie dłużej).

– Przy tylu pacjentach musisz mieć wiele historii do opowiedzenia – bezwiednie przeszłam z nim na ty.

I miał: staruszka, która do niego przyszła, bo nie widziała dobrze przez swe okulary. Podczas gdy badał jej oczy, kobieta powiedziała: „Przez okulary niedzielne owszem, widzę dobrze”. „Dlaczego ich więc pani nie używa?” „Są

tylko na niedzielę” – wyjaśniła.

Albo mężczyzna, który wszedł bardzo poruszony i powiedział, że się metalizuje – metalizuje mu się całe ciało i teraz, kiedy proces dotarł do oczu, w rezultacie nie widzi. Philippe podszedł do tego spokojnie. Zbadał mu oczy – obejrzał je pod tą podświetlaną lupą, przez którą przyglądał się moim, pomyślałam. I przypomniał mi się jego zapach. – „Mam dla pana dobrą wiadomość – rzekł. – Nie mogę powiedzieć nic o reszcie ciała, ponieważ jestem tylko okulista. Ale pańskie oczy nie są zmetalizowane. Ponadto mogę pana zapewnić, że się nie zmetalizują”. Mężczyzna ucieszył się i podziękował.

Inny pacjent, posadzony przed tablicą okulistyczną, zaczął czytać: „Dwa, sześć, dziewięć, pięć”. „Nie widzi pan, że to litery?” – zapytał Philippe. „A, tak” – odparł tamten i wyrecytował dokładnie wszystkie litery, aż do ostatniej linijki, która dla mnie była zbyt drobna, żebym mogła ją odczytać.

7

„Interesuje mnie wszystko, co mówisz. Twoje oczy i głos nie dają mi spać, kiedy o tobie myślę”. Pisał do mnie co dwa albo trzy dni, zwierając mi się ze snu lub polecając jakąś powieść. W drodze do swojego gabinetu, mijając dom Berthe, wrzucał list do skrzynki. W jednym z tych krótkich listów zaprosił mnie na kolację do Le Procope. Zapytał, czy lubię ostrygi. Nigdy wcześniej ich nie próbowałam.

Kelner, łysy mężczyzna bez warg, przyniósł nam je na tacy.

Kleista konsystencja zrobiła na mnie wrażenie, była taka jak powłoka małży, które zbierałam w Isla Negra, ale o innym smaku, jakby srebrnej łyżeczki.

Ten sam smak miały też pocałunki Philippe’a.

Rozejrzałam się dookoła, po meblach i przedmiotach rysujących się w ciemności salonu w jego mieszkaniu. W głębi przez duże okno było widać bezlistne drzewo i fioletowe niebo.

Philippe nie zapalił światła, gdy weszliśmy.

W mieszkaniu unosił się nikły zapach papieru i kurzu, jak w korytarzu bibliotecznym w Isla Negra. Ale tu biblioteczka była mała. Podeszłam do niej, podczas gdy on odkorkowywał w kuchni butelkę. Prawie wszystkie książki to były wydania kieszonkowe, format typowy dla powieści detektywistycznych.

W sypialni w otwartej szafie zobaczyłam ciemne garnitury, a na półkach idealnie złożone kaszmirowe swetry i białe koszule. Nie było piżam.

Nie używał ich.

8

Gdy tylko Philippe poszedł do gabinetu, wstałam i zanim wyszłam, pośpiesznie posłałam łóżko.

Odkąd sięgam pamięcią, musiałam słać łóżko codziennie, przez całe życie. Matka, która nigdy nie rozmawiała ze mną o seksie, nauczyła mnie tak gładkiego ścielenia, że można było po posłaniu toczyć monetę. I tak każdego ranka przypominałam sobie matkę. Obie, stojąc naprzeciw siebie, ścieliłyśmy łóżko w Temuco, rozciągałyśmy pościel i przesuwaliśmy po niej rękami, by wygładzić powierzchnię, po czym rozpościerałyśmy narzutę. Pościel w Temuco pachniała mydłem do prania i magłem. Jakże inny był zapach pościeli Pabla i naszej. W momencie kiedy słałam nasze łóżko w Paryżu, myślałam o łóżku matki, którego nigdy nie ścieliłam. Myślałam o moim małżeństwie. Myślałam o sposobie, w jaki mój mąż i ja uprawialiśmy miłość. Uprawiać miłość – jakie dziwne wydawało mi się zawsze to określenie. My ją odprawialiśmy. Philippe przemierzał moje ciało z naukowym zaciekawieniem. Jakby moja skóra miała tu i ówdzie oczy, a on musiał je odkryć i zbadać. Moje oczy odpowiadały albo nie odpowiadały na jego pieśczoć. Potem udawałam, że zasypiam. Czasami spałam, a czasem nie. Już krótko po ślubie, w tym ciemnym mieszkaniu przy Rue de Grenelle, z wyłożoną dywanem łazienką i kuchnią wytapetowaną w lilie, w której nigdy nic się nie gotowało, wiedziałam, że nasz związek nie potrwa długo. Nie z winy Philippe'a ani mojej. Może prawdą było to, co kiedyś powiedziała mi Delia: Paryż zachowywał się jak zazdrosny kochanek, domagał się całej naszej uwagi. Dlatego działał tak terapeutycznie. Było tu tyle kin, sklepów, księgarń. I lodowate ulice pod szarym niebem. Tej zimy spacerowały nadzwyczaj zmysłową przyjemność – była to najchłodniejsza zima mojego życia. Chodziłam od Montmartre i placu Pigalle do parku Montsouris, od wieży Eiffla do Bastylli. Dopiero teraz odkrywałam Paryż, po tym jak przez tyle wieczorów w minione zimy wędrowałam bez celu wzdłuż Sekwany do ostatniego mostu, ściskając w rękach czerwony szal wydziergany przez matkę.

9

Berthe umarła we śnie.

W międzyczasie opuściłam Philippe'a i przeniosłam się z powrotem do niej, znowu zostałam jej lektorką. Odbyło się to tak naturalnie, jakby nic się nie zmieniło: ani nasze pokoje, ani nasi ulubieni autorzy. Nie potrzebowałyśmy słów. Rozmawiałyśmy za pośrednictwem książek. Miesiąc później zmarła.

Tego ranka nie odpowiedziała, gdy zawołałam ją na śniadanie. Podeszłam do niej i była zimna, ale przecież zawsze taka była. Znowu mnie nabiera, przyszło mi do głowy, jak wtedy, kiedy myślałam, że nie jest ślepa, że wszystko to tylko udawana farsa, po to żebym dotrzymywała jej towarzystwa.

Jej śmierć nie była dla mnie ciosem. W jakiś sposób przygotowała mnie na nią. Może właśnie tak umierają niewidomi: stopniowo gasną, porządkując swe życie i wszystko, co ich otacza, aż wreszcie mogą spokojnie odejść.

Nie wiedziałam, kogo powiadomić. Berthe nie miała rodziny. Nie chciałam wzywać Delii. Nie chciałam dzielić się jej śmiercią.

Zadzwoiłam do Philippe'a. To on zajął się pogrzebem. Kameralna ceremonia w Saint-Severin, kościele, do którego chodziła Berthe. Odprowadzałam ją na msze – zostawiałam ją w pierwszej ławce i krążyłam po Dzielnicy Łacińskiej, aż minęła godzina.

W ostatniej ławce płakał jakiś staruszek. Sekretna miłość?

Proboszcz wygłosił krótką mowę – o tym, jak szczodra była Berthe, o jej dobrym humorze. Płakałam nie z jej powodu, tylko na wspomnienie matki: nie widziałam jej trumny, nie wiedziałam, gdzie spoczęły jej prochy, nikt nie wygłosił dla niej mowy, nikt jej tak naprawdę nie znał. Ubrałam się na czarno dla Berthe, na znak żałoby, której nie nosiłam po matce.

Kiedy skończyła się msza, staruszka z ostatniej ławki już nie było.

Przyjrzałam się jeszcze raz wnętrzu kościoła. Przypomniałam sobie spokojną twarz Berthe, gładkość, jaką zdawały się mieć jej zamknięte powieki.

Jakiś pisarz, nie pamiętałam już kto, napisał, że na łożu śmierci nikt nie opowiada powieści ani poematu, tylko nowelę. Jaką opowieść snuła Berthe?

Podeszła do mnie Marie. Wzięła mnie pod rękę i wyprowadziła na dziedziniec.

– Nie jest to właściwy moment na taką rozmowę. Ale chcę wydać pani książkę.

10

W miarę jak moje życie traciło impet, moje opowiadania stawały się bardziej intensywne i przejmujące. Przynajmniej tak mówiła Marie.

– A jednak jest w nich humor, nawet jeśli miesza się z rozpaczą. – Uśmiechnęła się. – Są też coraz trudniejsze do przetłumaczenia.

Tłumaczyła je sama, z taką samą starannością, z jaką wybierała motywy na przody okładek i pisała teksty na tyły. Spotykaliśmy się zawsze w kawiarni przy Rue Saint-André des Arts, pod siedzibą wydawnictwa.

Spojrzałyśmy równocześnie na dziewczynę w czarnym berecie, która z rozdrażnieniem wydmuchiwała dym i popatrywała w okno. Każdego papierosa gasiła szybkim ruchem i zerkała na zegar. Zgniotła w popielnicze ostatni niedopałek. Pięć niedopałków. Zostawiła monetę na stoliku i wyszła. Tu też była historia.

Światło wpadające przez okno oślepiało i czułam, jak pieką mnie oczy. Nie spałam od wielu dni, a może tygodni. Nie mogłam zasnąć, lecz byłam zbyt zmęczona, by czytać. I nie wiedziałam, jak zdobyć te białe tabletki, które dawała mi Berthe, gdy przyjechałam do Paryża. Zaciskałam powieki i próbowałam nie myśleć o niczym aż do świtu. Tego ranka wstałam wcześniej, zeszłam bulwarem Saint-Michel nad Sekwanę, potem przeszłam przez most i Isla de la Cité obok Notre-Dame, po czym okrążyłam wyspę Saint-Louis, by znów wrócić do Dzielnicy Łacińskiej. Spacerując, łatwiej było nie myśleć.

– Dostałam już trzy listy od czytelników – odezwała się nagle Marie. – Wiedzą, z informacji na skrzydełku, że Josefina Linares mieszka w Paryżu. I pytają mnie, czy daje lekcje pisania. Chcą się od pani uczyć pisać opowiadania. Francuscy autorzy już nie piszą opowiadań, a oni chcieliby się nauczyć.

Wciąż mówiła do mnie per pani. Podobało mi się to. Potem skupiłam się na tym, co właśnie powiedziała.

– Dziękuję, ale wolałabym tego nie robić.

– Eliso – rzekła Marie – czy pani dobrze sypia?

Na chwilę położyła dłoń na mojej ręce.

– Tak, dobrze sypiam.

11

A jednak przyjąłam propozycję. Zorganizowałam kurs pisania w domu Berthe.

Pierwszego dnia otworzyłam drzwi i dwie kobiety, które przyszły razem, zapytały mnie o Josefina Linares, sądząc, że jestem jej sekretarką. Nie wyobrażały sobie, że pisarka może być taka młoda. Ja nigdy nie uważałam się za młodą.

Mówić do jednej osoby, która nas słucha, i zapomnieć o reszcie. Tak doradzał Pablo Delii, kiedy miała uczyć malarstwa w Santiago. Ja odwróciłam tę zasadę: mówić do wszystkich z wyjątkiem tej osoby, na której uwadze najbardziej nam zależy.

I tak ja, jak przedtem Pablo, bawiłam się w uwodzenie. Nie to mi zaproponowano, ale pierwsze zajęcie pociągnęło za sobą drugie i teraz zależało mi, żeby to właśnie André mnie słuchał.

A on mnie słuchał. Od czego zależało, czy zostanie? Od temperatury, koloru mojej spódnicy (była ciemnozielona, z lnu), od mojej fryzury (kok, łatwy do zburzenia) czy od akapitów, które czytaliśmy? Mój wybór padł na Hemingwaya: jak opowiadać za pomocą opisów, nie interpretując ani nie wyjaśniając, jakbyśmy patrzyli na scenę przez szybę, nie słysząc tego, co mówią bohaterowie. A jeżeli już słyszemy, to dialogi są zwodnicze, zawierają wypaczoną relację tego, co się naprawdę zdarzyło.

– Najlepsze jest otwarte zakończenie – stwierdziła Béatrice.

Zdawało mi się, czy André powiedział jej coś do ucha wcześniej, gdy czytałam?

– Tego właśnie chcę – rzekłam i pomyślałam: „twojego ciała”. – Pięciostronicowego opowiadania z akcją osadzoną w szpitalu.

– *Oh là* – Camille, jak zawsze Camille, w swojej sukience mniszki. – Pewnie nic mi nie przyjdzie do głowy.

– Im bardziej precyzyjna jest narzucona zasada, tym więcej możecie poczuć swobody. Musicie sobie tylko wyobrazić jakąś historię. I opowiedzieć, jakbyście sami jej do końca nie rozumieli.

Reszta zajęć minęła szybko. Na koniec czytali swoje wiersze, zadanie

domowe z poprzedniej lekcji. Jedna z kobiet prosiła również o kurs pisania poezji. Jakby tego można się było nauczyć.

Béatrice podeszła do mnie i wręczyła mi swój wiersz, nie chciała go czytać na głos.

„Nasienie”, „pokłonienie”.

– Nie da się napisać dobrego wiersza z tymi słowami – powiedziałam, podkreślając je długopisem.

Neruda po rozstaniu z Delią napisał wiersz zatytułowany *Nasienie*. Przypomniałam sobie jeden wers: „Ukryte słońce, które otwiera i zamyka genitalne fale”. To była bodaj jego najgorsza metafora. Zdarzało mu się pisać w życiu bardzo kiepskie wiersze, ale biorąc pod uwagę całokształt jego twórczości, mógł być jednym z najlepszych poetów. On i Victor Hugo.

Borges, inny wielki poeta, choć moi uczniowie znali tylko jego opowiadania, mawiał, że najlepsze wiersze, jakie napisano, wyszły spod pióra Victora Hugo: *C’était l’heure tranquille / où les lions vont boire*. „Spokojna pora, w której lwy przychodzą się napić” – pora, kiedy należy się zbierać do odejścia.

Żegnałam się z nimi w drzwiach. Andrégo nie było w grupie.

Oglądał grzbiety książek na regałach w korytarzu. Powietrze zmieniło konsystencję: przedtem go tu nie było, a teraz jest.

Podaliśmy dwie szklanki wody. Widziałam, jak płynie przez jego gardło jako szklana kuleczka. Chciałam być tą kuleczką. Patrzyłam na długą linię biegnącą od szyi do podbródka. Jego nos, zarys ust z profilu. Jego oczy: zielone, szare, czarne.

Odwróciłam się do niego plecami, rozpuściłam włosy. Ten gest później stanie się sygnałem.

Poszłam do pokoju. Zatrzymałam się przy oknie, patrząc na korony drzew, na przejeżdżające auta. Na żółto-fioletowe niebo, na strzępy czerwonych chmur, przypominające skrzepy.

On też podszedł do okna, wciąż ze szklanką wody w ręce. Wsunął twarz w zagłębienie między moją szyją a ramieniem.

Postawił szklankę na biurku. Zamknęłam oczy.

Powoli, pomyślałam. Niech to trwa.

Odwróciłam się i pocałowałam go. Całowanie nadal wprawiało mnie

w zdumieniu.

Jego niezwykle miękkie wargi przyciśnięte do moich, jego język tu i tam we wnętrzu moich ust. Jego ręka pod moją spódnicą. Jego palce, też jak języki. Zamieniłam się w płyn, a potem wyparowałam. To byłaby idealna śmierć. Lecz nie chciałam jeszcze umierać. Aldo, pomyślałam. A po chwili już o niczym nie myślałam.

Dotknęłam jego króciutkich włosów, jego karku. Zadrżał.

Rozpięłam pasek, spuściłam spodnie. Zdjął buty i wyzwolił się z ubrania. Porozpinałam jeden po drugim guziki jego koszuli i zdjęłam ją.

Rozebrać mężczyznę, pozostając w ubraniu! Patrząc na niego, pieścić, całować nagiego, widzieć, jak zmienia się wyraz jego twarzy. Pod palcami wyczuwałam rysujące się mięśnie. Do tej pory byłam odporna na męskie piękno, nazbyt pochłaniało mnie podziwianie urody kobiecej. A teraz jego męskie wdzięki miałam pod opuszkami palców. Szczelinę między pośladkami, twardość łopatek.

Uśmiechnął się. Najwyraźniej właśnie odkrył, że bardziej mu się podoba, kiedy ktoś go rozbiera, aniżeli gdy sam to robi.

Teraz na niebie widniały trzy smugi: złoto-pąsowa – jak bielizna Matilde, wyżej biała, nad nią zaś niebieska.

Szliśmy – ja tyłem – w stronę nieposłanego łóżka. Zrzuciłam buty, zsunęłam spódnicę, zdjęłam bluzkę, nie rozpinając jej, przez głowę. Guzik podskoczył z metalicznym dźwiękiem, odbijając się od podłogi. André ściągnął mi majtki. Pchnął mnie na łóżko i zaczął przesuwac dłońmi po moim ciele. Jego usta nie odrywały się od moich. Położyłam się na nim. Rozchylone w uśmiechu usta sprawiły, że zderzyliśmy się zębami. Znów zapach jego mydła. Jego ciało rozciągające się pod moim, nad moim. Jeśli jemu podobało się moje ciało, mnie też powinno się podobać.

Jeżeli zaczekamy jeszcze chwilę, pomyślałam, zemdleję z rozkoszy. I zaczekaliśmy. Złączyłam nogi, wyginając się w jego stronę, ale nie pozwoliłam mu wejść. I wszystkie zmysły skoncentrowały się w tamtym miejscu, kiedy wszedł. Moje ciało połknęło go i straciło zdolność odczuwania czegokolwiek. Nie chciałam zamknąć oczu. Ani w mojej pamięci, ani w wyobraźni nie było nic, co mogłoby się równać z obrazem, który miałam przed sobą – widokiem jego twarzy.

Nie było między nami miłości ani poczucia winy, ani czułości czy przyjaźni. Tylko pożądanie. Uczylałam się przyjemności dawania rozkoszy. Do

tej pory żyłam w przekonaniu, że seks nie jest ważny. Teraz wiedziałam, że lepiej kochać i pożądać, niż być kochaną i pożadaną. Nawet tylko pożądać. Nie było nic bardziej duchowego niż pożądanie.

Już nie czułam się religijna. Może zresztą nigdy taka nie byłam. Ale zachowałam wspomnienie kościołów w południe albo w ostatniej wieczornej godzinie: światło sączyło się przez kolorowe witraże, panowała cisza. Zamknąć oczy i poczuć w powietrzu ciszę wraz z zapachem kadzidła. Tak łatwo było uwierzyć, że jest tam Bóg. Mój umysł kierował się ku planetom, galaktykom, a potem ku nicości. Otwierając oczy, widziałam twarz swojej matki: zamknięte oczy, czasami przelotny bolesny grymas, innym razem błogość opromieniająca jej czoło i otwierająca oczy. Byłam pewna, że tak wygląda teraz moja twarz.

Kręciliśmy się w kółko, to bliżej, to dalej. Nie było ani milimetra na moim ciele, na którym by się nie znalazł.

– Co chciałabyś, żebym teraz zrobił?

Nigdy nikt mnie o to nie zapytał.

– To, co robisz teraz.

Spojrzałam na jego powieki, na długie rzęsy, kolor jego włosów. I niezwykle gładkie czoło.

Otworzył oczy. „Podoba ci się?” – spytał. „Tak”. I kręciliśmy się dalej, ja na nim, on na mnie. Zapomnieliśmy o pocałunkach i nagle jego usta znów znalazły się na moim ramieniu, na mojej szyi, na ustach. Jeszcze, powiedziałam powoli, jeszcze, jeszcze. Zaczął się poruszać szybciej. Już o mnie zapomniał. Patrzyłam, jak podnosi głowę i prze aż do dna, chociaż dla niego nie dosyć głęboko. Jęknęłam, i znowu. On wciąż z czymś walczył, zapewne z własnym oporem. Zaskakiwało mnie to już niejednym razem poprzednio. Ten finał niczym powolna agonია. Jego serce tłukące się o moją pierś ze zdumiewającą prędkością. A potem rozkosz, którą chłonęły uspokojone ciała, jak piasek na brzegu morza chłonie wodę, gdy powraca fala.

Zasnął. Co jakiś czas jego ciałem wstrząsało drżenie. Ja też budziłam się nieraz z drgnieniem podczas snu, czułam, jak moje ciało drży, tonie czy raczej próbuje wydostać się na powierzchnię. Ale to było przedtem, gdy jeszcze

sypiałam.

Jego serce nadal mocno biło pod moim bokiem. Jaki był z innymi kobietami? Z Béatrice? Naturalność, z jaką to wszystko robił, mogła wynikać tylko z systematycznej praktyki.

Muszę go obudzić. Jeszcze chwilę, pomyślałam, i znów na niego spojrzałam. Przypomniałam sobie wiersz Cummingsa, który przetłumaczyłam kiedyś, żeby go lepiej zapamiętać.

lubię swe ciało, kiedy jest przy twoim
ciele. Robi się z niego rzecz zupełnie nowa.
Każdy nerw, każdy mięsień dwoi się i troi.
Lubię twe ciało. lubię to, co robi,
lubię jego sposoby. lubię pod twą skórą
wyczuć palcami kości i kręgosłup drobny
i czuć, jak drży ta cała jędrna gładkość, którą
wciąż od nowa całować, całować, całować
chciałbym; lubię całować twoje to, a też
i tamto, z wolna głaskać elektryczną wełnę
twoich kędziorów, kiedy ciało rozchylone
ulega temu czemuś... I oczy, ogromne
okruszyny miłości; i lubię ten dreszcz
pode mną ciebie tak nowej zupełnie¹⁰

Czytałam go na poprzednich zajęciach, bardzo uważając, żeby nie patrzeć na André. Po tamtej lekcji nie został. Widziałam, jak schodził po schodach roześmiany, w towarzystwie Béatrice. Mała pociecha: ona śmiała się jak nietoperz, śmiech odbierał jej twarzy całą urodę.

Teraz już naprawdę musiałam go obudzić.

Jeden, jedyny raz został na noc. Tamtego wieczoru byliśmy, tak jak dzisiaj, w bibliotece, kiedy wszyscy już sobie poszli. Po prostu zbliżyliśmy się do siebie ciałami i twarzami i napawaliśmy się swym zapachem. Pocałowałam go.

„Podoba ci się?” – zapytał André również tym razem. „Ty mi się podobaasz. Podoba mi się twoja twarz, twoje ciało, jak pachniesz, jak się

ubierasz”. „Nie jestem teraz ubrany”. „Podoba mi się, że nie mówisz”. „Nie czuję takiej potrzeby”. Potem stał się rozmowny. Byłam dobrą słuchaczką, całe życie upłynęło mi na słuchaniu.

Powiedział mi, że szuka pracy i że pewna profesor z Akademii Sztuk Pięknych zaproponowała mu zatrudnienie w charakterze modela. Wyobraziłam go sobie nagiego w wielkiej uczelnianej auli, wystawionego na spojrzenia studentów i profesorki. Jak to możliwe, że poczułam zazdrość wobec nieznanymi mi kobiet, i to o mężczyznę, którego nie kochałam?

Znów zadrzał we śnie.

Leżał daleko od mojego ciała, spokojnie jak posąg, i nie odważyłam się go obudzić. Również tej nocy nie mogłam zasnąć, z jego ciałem u boku. Leżałam rozbudzona, kiedy mnie ugryzł w ramię i objął mnie w talii. O świcie kochaliśmy się gwałtowniej i szybciej. Wstałam, poszłam do łazienki, a kiedy wróciłam, on był już ubrany i niespokojny jak kot, który czeka, by mu otwarto drzwi. Więc mu je otworzyłam.

Spanie z kimś oznaczało większą zażyłość niż seks. Napoleon napisał: „Aby nie stracić wzajemnego zainteresowania sobą, małżonkowie muszą spać razem; w przeciwnym wypadku zamieniają się w obcych sobie”. Zawsze zamieniamy się w obcych. Jak Philippe i ja. Byliśmy sobie obcy na początku, myśleliśmy, że się zbliżyliśmy, a z czasem znów zamieniliśmy się w obcych.

Ostrożnie wysuwam nogę spod jego kolana, a on się nie porusza. Jego ramię spoczywa na moim ciele, muszę je odsunąć. Budzi się zaskoczony, przeciera oczy i rozgląda wokół siebie.

Wkładam spódnicę i bluzkę.

– Spóznisz się na ostatnie metro.

Siedzi na łóżku jak złoty, nagi Budda.

– Jakie mam inne możliwości?

Potrząsam głową z uśmiechem. Wówczas on wstaje, taki wysoki, zbyt piękny, żeby był prawdziwy. Ile jeszcze razy będę mogła patrzeć na kogoś tak bliskiego ideału? Tego ranka czuję, że robię to po raz ostatni. Nieważne, że on ma dwadzieścia lat.

Żegnaj go w drzwiach. Całuje mnie szybko, potem wychodzi, na zawsze

znikając z mego życia.

12

Znaleziono mnie na ławce na placyku Saint-Julien le Pauvre, płaczącą i wołającą: „Mama. Nie chcę, żeby coś przydarzyło się mojej mamie”.

Kiedy Philippe przyszedł po mnie do szpitala, byłam na środkach uspokajających. Przespałam dwadzieścia cztery godziny. Tak mi powiedziała pielęgniarka. W pewnym momencie założono mi jasnoniebieską piżamę. Nigdy więcej w życiu nie włożyłam na siebie ubrania w tym kolorze.

Dali mu jakiś papier. Kazali podpisać inny.

– Mój zegarek – powiedziałam. Zegarek, który dostałam od Berthe na urodziny.

– Zaraz oddamy pani wszystkie rzeczy – oznajmiła oschle pielęgniarka. Pewnie mówią tak do szaleńców i więźniów, pomyślałam. – Proszę za mną.

W korytarzu inni pacjenci, w takich samych niebieskich piżamach, wlekli się bez celu noga za nogą. Przypomniała mi się książka Primo Leviego. Nie znałam niczego, co bardziej przypominałoby obóz w Auschwitz niż to miejsce.

Pielęgniarka otworzyła drzwi jakiegoś pomieszczenia. Na półkach leżały czarne worki na śmieci. Podała mi jeden z nich, zawiązany na węzeł. W środku była moja torebka i ubranie: czarne spodnie, sweter z dziurą pod pachą oraz zdarte buty.

Od jak dawna w tym chodziłam? Nie było rajstop. Na dnie worka znalazłam swój zegarek. Zapięłam go na rękę. Była szósta. Rano? Wieczorem? Którego dnia?

Otworzyłam torebkę. Były w niej, jak zawsze, dwie koperty, zniszczone i poplamione. Zdjęcia i list.

Philippe popatrzył na moje stopy. Przestałam nimi powłóczyć i próbowałam iść szybciej, ale moje ruchy były powolne, nie mogłam nad nimi zapanować.

– Pokaż mi ten papier, który ci dali – powiedziałam.

Wziął mnie pod ramię, lecz nie pozwoliłam się zbyć. Wówczas wyjął kartkę z kieszeni i dał mi ją.

„Przyjęta we wczesnych godzinach rannych. Przywieziona przez policję, z adnotacją, że znaleziono ją płaczącą i wykrzykującą coś po hiszpańsku. Wspominała o swojej matce i o tym, że coś jej grozi. Możliwy łagodny, izolowany epizod psychotyczny spowodowany wyczerpaniem i brakiem snu. Początkowo pełna podejrzeń i roztrzęsiona, przyjęła leki nasenne, a po przebudzeniu okazała się spokojna i kontaktowa. Nie obserwuje się zmian zachowania ani agresji. Zdecydowano o wypisie ze szpitala na życzenie biorącego na siebie odpowiedzialność męża, lekarza, niżej podpisanego”.

Zabrał mnie do mieszkania, które kiedyś było również moim domem. Położył mnie na sofie. Przyniósł filiżankę herbaty.

Jak to się stało, że go wezwano? Jego wizytówka – zawsze nosiłam w torebce kartę wizytową Philippe’a („lekarza okulistyki”), z adresem gabinetu i numerem telefonu.

Pogłaskał mnie po ręce, nie patrząc mi w twarz. Zdawało się, że całą uwagę skupił na żyłach pokrywających grzbiet mojej dłoni. Mnie też zdumiały – wyglądały jak korzenie.

Potem pogładził mnie po włosach. Od wieków nikt mnie nie głaskał po głowie tym czułym, pełnym troski gestem, który kojarzył mi się z chorobami w dzieciństwie.

– Elisa.

Kiedyś irytował mnie sposób, w jaki akcentował „a” w moim imieniu, z francuska, lecz teraz dołożył starań, by moje imię zabrzmiało z hiszpańska, i prawie mu się to udało.

– Nie znam cię.

Zamknęłam oczy, ale nie chciało mi się więcej spać.

Miał w ręce jakąś kopertę. To nie był raport medyczny, tylko list mojej matki.

– Opowiesz mi?

Otworzyłam szeroko oczy, żeby się lepiej skupić. Nie na mrocznym pokoju, tylko na mojej matce. Sprawiałam, że zniknęła z mojego życia, potem zaś, w swoim obłędzie, naraziłam ją na niebezpieczeństwo. A teraz zbliżała się do mnie powoli.

Noc była długa. Mówiłam. Jak gdybym rozmawiała sama ze sobą. Jakbym czytała.

13

Spotkaliśmy się w tej samej kawiarni co na naszej pierwszej randce.

Zachodziłam kiedyś sama w to miejsce, w połowie drogi między domem Berthe a gabinetem Philippe'a. Siadałam tak jak teraz, przy stoliku z widokiem na ulicę: patrzyłam na Francuzki z ich przezroczystą cerą i sposobem, w jaki spinały włosy nad karkiem, tak że opadały na ramiona. Przyglądałam się, jak wyglądają w płaszczu i zawiązaną na szyi chusteczką oraz w makijażu. Czasami zastanawiałam się, dlaczego nie zaprzyjaźniłam się z żadną z tych kobiet, które z taką pewnością siebie przemierzały ulice, że zdawały się iść na spotkanie z jakimś mężczyzną. Mogłyby mi opowiedzieć o swoich przygodach, pokazać nową bluzkę czy sukienkę, którą właśnie kupiły. Ale nie miałam przyjaciółek w Paryżu. Nie miałam ich także w Isla Negra ani w Temuco. Tylko koleżanki ze szkoły, które raz poprosiłam o zadanie domowe. Zapraszały mnie do swoich domów na podwieczorek, ale ja nigdy nie odwzajemniałam zaproszeń i w końcu o mnie zapomniały.

Philippe przeszedł przez ulicę. W rozpiętym płaszczu, z rozwianymi włosami zakrywającymi mu zbyt duże uszy.

Pocałował mnie w policzek. Jego twarz była lodowato zimna i lekko drapała. Przestał zapuszczać brodę.

– Ładnie wyglądasz – rzekł. – Przybierasz na wadze. Dobrze ci to robi.

Zamówił espresso, ja drugie.

– Myślałem o tym... – Mieszał kawę, nie patrząc na mnie. Jak tamtej nocy, kiedy mnie zabrał ze szpitala. Nocy, kiedy mu opowiedziałam. – Elisa. Jest coś...

Wreszcie na mnie popatrzył. Miał piękne szare oczy.

– Musisz się z nimi znów zobaczyć. Z wszystkimi, ale zwłaszcza z Pablem.

Poczułam dreszcz. Wypiłam łyk kawy.

– Z Juaną. Z Delią. Musisz z nimi porozmawiać, opowiedzieć im, wypytać. Ale zacznij od Pabla – nalegał. – Mogę ci pomóc.

– To nic trudnego. – Wzruszyłam ramionami. – Pisuje do mnie na adres Berthe.

Wciąż mieszał zimną kawę, jakby musiał dodać sobie odwagi, żeby mówić dalej. Wyciągnął rękę nad stołem i położył ją na mojej dłoni.

– Wiesz? Choć się już nie widzimy, chciałbym być pewien, że to zrobisz. Musisz tam wrócić.

– Wrócić – powtórzyłam.

– To, poniekąd, jest jak choroba.

Spojrzałam na niego i spuścił wzrok, podniósł dłoń i znów ją położył na mojej, jakby otwierał i zamykał jakiś pojemnik.

– Jak guzek, który nosisz w sobie. Udajesz, że o nim zapomniałaś, ale on staje się coraz ciemniejszy. Myślisz, że cię nie boli, ponieważ przyzwyczaiłaś się do bólu. To ból, z którym można żyć, lecz po co tak cierpieć.

Kiedy nauczyłaś się mówić w taki sposób? Jego ręka wciąż spoczywała na mojej. Popatrzyłam na długie, cienkie palce. Już w czasie pierwszego spotkania jego dłonie wydały mi się piękne.

– Moja matka przed śmiercią powiedziała mi, że niczego nie żałuje, poza tym, czego nie zrobiła.

I wtedy, jak we śnie czy raczej w koszmarze, przypomniałam sobie, co powiedziałam policjantom, kiedy mnie wieźli do szpitala. Nie było tego w raporcie medycznym. Nie zrozumieli.

– Wiesz, o co chodzi? Moja matka jest w niebezpieczeństwie. Cała ludzkość jest w niebezpieczeństwie, a sekretem ocalenia Ziemi są matki. Zapytaj jakąkolwiek matkę na łożu śmierci, co jest najlepsze dla jej dziecka: będzie to też najlepsze dla świata. Jak myślisz, dlaczego wciąż podziwiamy renesansowe i gotyckie malowidła ukazujące Maryję Dziewicę z Dzieciątkiem? Dlaczego tak nas porusza *Pieta*? Wielcy artyści nie przedstawiali dziewic z powodów religijnych. Może Kościół płacił im za to, ale skoro te dzieła przetrwały tyle wieków, to dlatego że zawierają klucz do naszego ocalenia. Nie pojmowały tego religie, nie wiedzieli uczeni, ale zrozumieli wielcy artyści. Tylko matka wie, co jest najlepsze dla nas wszystkich.

Pablo pisywał do mnie regularnie, co miesiąc, na adres Berthe. Tylko raz zadzwonił. Nie było mnie wtedy w domu i Berthe powiedziała mu, że może zadzwonić później. Ale on tego nie zrobił. Pisał krótkie listy na kartkach z notesu albo na jakiejś hotelowej papeterii, zawsze swoim zielonym długopisem, tym samym, którym pisał wiersze. Opowiadał anegdoty lub streszczał codzienne życie, w liczbie mnogiej, choć nie wymieniał imienia Matilde. Początkowo na kopertach widniała pieczęć pocztowa z Isla Negra, a potem z Moskwy, Warszawy, Barcelony, Bukaresztu, Pragi. „Matilde i ja na krakowskim Rynku” – głosił podpis na odwrocie zdjęcia, które dołączył do jednego z ostatnich listów.

Jakże zmienił mu się charakter pisma. Żaden grafolog nie uznałby, że należało do tego samego człowieka, który wypełniał zapiskami zeszyty w Isla Negra. Teraz jego litery sprawiały wrażenie, jakby lada chwila miały się ulotnić, jakby przemykały bez śladu niedoskonałości po wyobrażonych liniach prostych, jakby pisano je od linijki.

Również jego ciało nie było już takie jak dawniej: podwójny podbródek, wielki brzuch.

Znowu spojrzałam na zdjęcie, tym razem tylko na Matilde. Miała na sobie spodnie dzwony, które podkreślały jej szerokie biodra, i dopasowany golf, a jej rude włosy tworzyły napuszoną fryzurę. Uśmiechała się, pokazując zęby, z pewnością poplamione szminką.

15

Na nasze spotkanie w Paryżu, w kawiarence koło księgarni L'Herne, przybył jednak bez Matilde.

Stawiłam się przed umówioną godziną i weszłam, żeby obejrzeć ostatnie nowości. Było kilka tomików poezji, w tym jeden jego: *Byki*, z szesnastoma akwafortami Picassa. Może zaproponował to miejsce na spotkanie właśnie po to, żebym zauważyła jego książkę. Nie miałam ochoty jej czytać, obejrzałam tylko rysunki Picassa. Delia też malowała byki.

Weszłam do kawiarni i usiadłam przy jednym z marmurowych stolików. Wkrótce zjawił się i on.

Był taki jak na zdjęciu: gruby i podstarzały. Wstałam z krzesła i objął mnie.

Stałam przez kilka sekund z twarzą przyklejoną do jego marynarki. Poczułam mocny zapach naftaliny i przypomniałam sobie coś, o czym kiedyś mówiła mi Delia: Victoria uświadomiła sobie, że pomyliła się w wyborze męża, ponieważ na ślubie jego garnitur było czuć naftaliną.

Pablo zanurzył twarz w moich włosach. Wtedy przypomniałam sobie tamtą noc obok niego, na kanapie w Isla Negra. Ciało mi zeszywniało.

Usiedliśmy. Musiał przesunąć stolik, żeby nie zawadzać o niego brzuchem. Miał poczerniały ząb.

– Jesteś znacznie starsza – rzekł. – Czego się napijesz?

– Poproszę kieliszek białego wina.

On zamówił dla siebie whisky. Whisky, tak jak tamtej nocy.

Ręka mu drżała, kiedy podnosił szklaneczkę. Oparł ją na kolanie.

– Opowiadaj.

Powiedziałam mu tylko, że Berthe nie żyje.

Pokręcił głową, jak gdyby myślał o czymś innym.

– Wyszłaś za męża?

– Tak, ale już nie jestem mężatką.

– Nie masz dzieci.

– Nie.

Zamilkł, wpatrując się w bursztynowy płyn. Włożył palec do szklanki i zamieszał lodem. Szukał nowego pytania, a może tylko wspomnienia, tak jak wtedy gdy szukał cennych muszli na brzegu, chociaż wszystkie wydawały się jednakowe.

– Piszę – odezwałam się.

– Co piszesz?

– Opowiadania.

Nie wiem, czemu to powiedziałam. Może pod wpływem drżenia jego ręki, którą poruszał, jakby wystukiwał mój głos na maszynie. Wcale nie chciałam, żeby je przeczytał.

Nie poprosił o to. Zamówił kolejną whisky i jeszcze jeden kieliszek wina. Lekarz pozwolił mi tylko na jeden. Wciąż jeszcze zażywałam te przekłete białe tabletki i moja głowa działała powoli, bardzo powoli.

– Dlaczego nie wrócisz do Isla Negra? – zapytał, nie patrząc na mnie. – Delia by się ucieszyła. Księgozbiór... jest teraz twój.

Czyżby zapomniał? Po tym, jak Delia odeszła, zawartość swojej biblioteki przekazał w darowiźnie uniwersytetowi. Książki i muszle. Przyjechali po nie wielką ciężarówką.

– Nie potrzebuję go. Każdą z tamtych książek mogę znaleźć tutaj – wskazałam pobliską księgarnię.

Nagle zniżył głos, jakby zamierzał mi powierzyć jakiś sekret:

– Mam w głowie naprawdę ważne wiersze. Już prawie nie czytam powieści. Już prawie nie czytam. Mogę zrezygnować z czytania, ale będę pisać do ostatniego dnia życia. Wiesz? Odkryłem, że czasami wszystko kończy się na jednej, jedynej linii. Jak w tym haiku: *Samotność w kaszlu moim. Samotność w kaszlu moim* – powtórzył, przecinając powietrze gwałtownym ruchem ręki. I zaraz znów położył ją na stole, jak nienależący do niego przedmiot.

Miał szkliste oczy. Jak Chu-Tuh. Gdzie się teraz podziewa Chu-Tuh?

Ten stary, zmęczony człowiek, który patrzył na mnie, nie widząc, to był mój ojciec. Nigdy nie chciałam, by nim był, tym bardziej nie chciałam tego teraz. Nie chciałabym też być taka jak on.

Jeszcze raz spojrzałam na jego pokryte piegami ręce. Już mu wybaczyłam. Teraz był tylko żalonym, starym człowiekiem.

Wyszliśmy na ulicę. Zapadał zmierzch. Liście na drzewach zmieniły kolor z zielonego na niebieski. Przypomniał mi się jego wiersz, prawie haiku, znalazłam go na jego biurku krótko przed tym, jak opuściłam Isla Negra: „Skąd bierzesz tyle liści, / francuska wiosno?”.

Wtem zdarzyło się coś niezwykłego – na rogu jakiś człowiek grał na puzonie. To była muzyka, którą Delia nastawiła, kiedy przyjechała do Isla Negra, w dniu, w którym ją poznałam.

Gdy skończył, podeszłam i wrzuciłam mu do kapelusza monetę.

– Jak się nazywa ta piosenka?

– *In the Mood* Glenna Millera. – Muzyk popatrzył na mnie, najwyraźniej zdumiony, że jej nie znam.

Tak, to zdumiewające, że od tamtego dnia nigdy więcej jej nie słyszałam. Zapytałam Pabla, czy ją pamięta.

– Co?

– Tę melodię.

– Lubisz jazz?

Nie pamiętał też tamtej nocy. Wszystko to było dla niego bardzo odległe. Był daleko od Isla Negra, od Chu-Tuha, od Delii, ode mnie, jak te sondy kosmiczne wysyłane w przestrzeń, które odlatując coraz dalej, zapominają o swojej misji i gubią się w nieskończoności wszechświata.

IV

1

Zatrzymałam się przed domem Guindów, który widziałam po raz pierwszy w życiu. Musiałam wyjechać do Europy, by w końcu trafić do Santiago. Wyglądał jak dom z lasu w środku miasta.

Delia otworzyła drzwi, zanim zdążyłam zadzwonić, jakby czekała na mnie przy oknie. Znowu oszukiwała czas. Miała chyba z siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt lat. Nigdy nie poznałam jej wieku. Ubrana była w letnią sukienkę z krótkimi rękawami, ozdobioną geometrycznym wzorem, a jej włosy, teraz zupełnie białe, ocierały się o końską szczękę.

Miałam ze sobą tylko przewieszoną przez ramię torebkę, którą mi kiedyś podarowała, oraz walizkę, którą próbowała mi zabrać i ponieść sama, ponieważ jak powiedziała, jest dla mnie za ciężka.

Pocałowała mnie w policzek, jakbyśmy ostatnim razem widziały się poprzedniego dnia. Miałam nadzieję, że się zbliży, bo chciałam poczuć jej perfumy. Były takie same jak dawniej.

Białe włosy czyniły ją młodszą. Miałam wrażenie, że oczy jej posiwiały.

Sięgnęła do spinki w moich włosach, wyjęła ją i rozpuściła kok, który nosiłam nad karkiem.

– Masz długie włosy, jak dawniej. Tak ci ładniej. Teraz tak.

W domu czuć było przede wszystkim farbę, dopiero po jakimś czasie wygrywały z nią perfumy Delii. To wnętrze było tak odmienne od domu w Isla Negra: prawie zupełnie pozbawione mebli i innych sprzętów. Na ścianach wisały jej nowe obrazy. Nigdy nie wieszala swych dzieł w Isla Negra.

Przypominały trochę płótna Picassa. Oczy z trzema powiekami. Ręce bez paznokci. Kobiety, które zasłaniają sobie piersi, lecz pokazują srom. Nie mogłam powiedzieć, żeby mi się podobały.

Wyjęłam z walizki butelkę wina kupioną w ostatniej chwili. Przemierzałam sklepy w dzielnicy, zastanawiając się, co mogłabym przywieźć, nie popełniając błędu. W końcu wybrałam butelkę bordeaux, które Berthe podawała, kiedy przychodziła Marie albo gdy spotkałyśmy się, by uczcić mój ślub. Oraz pudełko makaroników od La Durée.

Delia poszła po kieliszki. Usiadliśmy na wielkiej kanapie z czarnej skóry. Nie wzniosliśmy toastu. Delia podniosła do ust malinowy makaronik.

– Co za rozkosz.

Nigdy dotąd nie słyszałam, by wymawiała to słowo.

Naprzeciwko nas, za oknem, niebo zmieniło kolor z różowego na fioletowy.

– Myślisz, że mnie kochał?

Oczy jej rozbłysły, po czym uroniła łzę – nieco przyciężką i niepasującą do jej twarzy. Tylko raz widziałam, jak płacze, to było wtedy, kiedy przeczytała wiersz poświęcony Matilde.

– Oczywiście, że tak – odrzekłam.

Z leżącej na stoliku paczki wyjęła papierosa i zapaliła go dobrze mi znanym gestem. Jej twarz za zasłoną dymu wyglądała tak samo jak wtedy, gdy zobaczyłam ją po raz pierwszy.

– Wyrecytuj mi wiersze, coś z tych, które Pablo napisał dla mnie.

Zacęłam szukać w pamięci; nie byłam pewna, czy dobrze sobie przypomnę.

– Delia jest światłem z okna otwartego / na prawdę, na miodowe drzewo, / i minął czas, a ja nie wiedziałem, / czy został z owych lat dotkliwie poranionych / jedynie blask jej inteligencji, / miękkość, której towarzyszy / twarde siedlisko mych boleści.

– Mów dalej, proszę. Nie znam tego.

Nie pamiętałam dalszego ciągu. Ale znałam inny.

– Przebacz mojemu sercu, w którym / głośno bzyczą pszczoły: / wiem, że ty, jak wszelkie istoty, / po najprzedniejszy miód sięgasz / i odrywasz / z księżycowego kamienia, z firmamentu, / swoją własną gwiazdę, / i krystaliczna jesteś pośród wszystkich. Dlatego, pasażerko / najgładsza, / jak nic ze stali i miodu, która związała mi ręce / w tych dźwięcznych latach, / istniejesz nie jako pnącze / na drzewie, lecz w swojej prawdzie. / To nie przeciwność losu rozdziela / istoty, lecz wzrastanie, / kwiat nigdy nie umiera – wciąż się rodzi. / Dlatego więc przebacz mi / i ja przebaczam / i on jest winien, i ona, / i idą, przybывая / języki związane / zakłopotaniem i bezwstydem / prawda / jest / taka, że wszystko rozkwitło, / a słońce nie zna blizn.

Milczała przez dłuższą chwilę.

– Jakie piękne. Z której to książki?

– Jeszcze ich nie opublikował.

– Szkoda, że ja codziennie przypominam sobie te same wersy: „twoje szerokie owocowe usta, rudą kaskadę twych włosów, moja ty mała wieżo”.

Z jej oczu popłynęło kilka łez. Nie otarła ich. Potoczyły się na sukienkę, a chwilę potem wyglądała tak, jakby w ogóle nie płakała.

– Może powinnam była zostać. Wszystko bym ułatwiła. – Wypuściła smugę dymu w stronę okna. – Ale nasz związek nie był małżeństwem mieszczańskim. Kiedy skończyła się miłość, skończyło się małżeństwo. Ponadto można znieść wiele, ale nie upokorzenie. Teraz dochodzę do wniosku, że wszystko można znieść, również upokorzenie, ponieważ nic nie zabolowało mnie bardziej niż to, że go opuściłam.

Gwałtownie zgasiła papierosa w popielniczce, jakby miażdżyła owada.

– Eliso, dam ci pewną radę. Nie lubię rad, ale i tak ci jej udzielę. Nigdy nie pozwól, żeby mężczyzna zrezygnował z miłości do ciebie. Możesz go kochać, nawet kiedy odkryjesz wszystkie jego słabości, możesz kochać te jego słabości, lecz przekonasz się, że on tego nie zniesie. Żaden mężczyzna nie pozwoli się lekceważyć, poszuka sobie innej kobiety, takiej która go będzie podziwiać, i sprawi, że zapomni o tym, jak go kiedyś lekceważono.

Spojrzała w okno. Nie było gwiazd.

– Chociaż to też nie jest pewne. Może staram się znaleźć bardziej skomplikowane wyjaśnienie, ponieważ to prawdziwe okazuje się zbyt proste: byłam już wtedy stara, a on przestał mnie kochać.

„Rzuciłaś nie tylko jego. Zostawiłaś też mnie – chciałam powiedzieć. – Gdybyś nie odeszła...” Ale rozmawialiśmy o niej, o jej miłości do Pabla. Ona i ciągle ona. Zawsze przyćmiewała wszystko wokół siebie.

Wstała z kanapy.

– Lepiej się już połóżmy. Masz za sobą bardzo długą podróż.

Pocałowała mnie w czoło i zaprowadziła do pokoju gościnnego.

W tym pomieszczeniu bez okien, znajdującym się obok sypialni Delii, po raz drugi w życiu spałam wyjątkowo głębokim snem. Nic mi się nie śniło, a jeśli nawet, to śniłam o tym, że śpię. Kiedy się obudziłam, postarzałam się o kilkadziesiąt lat.

Przejrzałam się w lustrze. Oczy, usta, czoło z tymi trzema rysującymi się

już ostro zmarszczkami, jakby pociągniętymi tuszem. Przyzwyczaiałam się do tego, że w mojej twarzy można wyczytać ból, radość, przeczucia. Delia powiedziała mi kiedyś: „Nie możesz kłamać, twoja twarz mówi wszystko”.

Serwis śniadaniowy był niebieski, z wymalowanymi ptakami. Delia zawsze wiedziała, jak otaczać się pięknem. I ja także, teraz sobie to uświadomiłam, zawsze go poszukiwałam, jak żebraczka: skrawek tęczy w moim oknie w Temuco, złociste liście drzew na chodnikach. Piękno – morze i czyste, rozgwieżdżone niebo – towarzyszyło mi w Isla Negra, pozwoliło przetrwać w Paryżu.

Eduardo Vilches, młody artysta zaprzyjaźniony z Delią – tak mi go przedstawiła – zaproponował, że odwiezie mnie na dworzec. Stał w drzwiach i spoglądał na Delię z takim samym oddaniem, z jakim patrzyłam na nią ja.

Podał mi rękę na powitanie i wziął moją walizkę. Odwrócił się, gdy Delia powiedziała:

– Kiedy wrócisz, syneczku, sprowadzisz do mnie lekarza, dobrze? Spokojnie. – Wzięła mnie za rękę, która nagle zrobiła się lodowata. – Będę jeszcze żyć długie lata. Jedyne, co mnie martwi, to fakt, że nie mogę tańczyć.

A potem, jak zwykle, szybko zmieniła temat:

– Eliso, wreszcie znalazłaś swoje perfumy.

Nigdy nie używałam perfum.

2

Drzwi były otwarte.

Pierwsze, co zwróciło moją uwagę, to belki, przedtem ich nie było. Na każdej widniało imię i nazwisko: Nazim Hikmet, Paco del Campo, Alberto Sánchez. Żadnego kobiecego imienia, Matilde by na to nie pozwoliła.

Zostawiłam walizkę i poszłam do kuchni. Wszystko było tak samo jak dawniej, z wyjątkiem pralki. Przypomniało mi się, jak mama prała pościel Pabla i płakała.

Usiadłam przy stole. Położyłam policzek na drewnianym blacie. Nie pachniał wybielaczem, tylko wilgocią.

Kiedy podniosłam wzrok, od progu patrzyła na mnie jakaś kobieta.

– Dzień dobry. Pani jest pewnie Elisą, prawda? Ja jestem Zulma, miło mi panią poznać. Don Pablo powiadomił mnie, że pani przyjedzie. Nastawię pranie pościeli – powiedziała, wskazując pralkę. – Przychodzę co tydzień, żeby zadbać o dom. Pan mówi, że gdyby go tak zostawić, toby się zawalił.

Ten akcent: lekkie przeciąganie samogłosek, jak u Florencia. Jak u Alda.

– Kupiłam parę rzeczy, żeby miała pani jedzenie w lodówce. Ale gdyby potrzebowała pani jeszcze czegoś, wybiorę się do sklepu.

– Do Florencia?

– Florencio jakiś czas temu wyjechał z miasteczka. – Kobieta odrzuciła głowę do tyłu, przywołując wspomnienia. – Przeniósł się do Santiago po tym, jak zmarła jego żona, a syn zaczął tam studia.

Podeszłam do okna, żeby nie widziała moich oczu. Odkręciłam kurek i nalałam sobie do szklanki zimnej wody. Smak wody, jakże odmienny od tego w Paryżu.

– Niech pani nie pije z kranu, w lodówce jest zimna woda.

Nalała mi wody ze szklanej butelki. Napiłam się z tej samej szklanki. Tym razem smak był inny. Wypiłam drugą szklankę. Byłam taka spragniona.

– A Aldo, jego syn – odezwał się, nie patrząc na nią – on też już tutaj nie mieszka?

– Cóż, wcześniej przyjeżdżał na weekendy do domu. Wciąż utrzymują ten

dom. Ale od jakiegoś czasu go nie widuję.

Ukryłam twarz w lodówce. Wyjęłam z niej talerz winogron i usiadłam przy stole.

Zapomniałam już, jak bardzo lubię winogrona. Miętkość skórki i sok eksplodujący w ustach. Jadłam je jedno po drugim, powoli, z zamkniętymi oczami, nie myśląc o niczym. Poznawałam ten smak na nowo.

Nie wiem, ile minęło czasu. Kobieta znowu stała w progu. Rozpuściła sobie włosy i miała torebkę przewieszoną przez rękę. Jak ona się nazywała? Przedstawiła mi się, ale zdążyłam zapomnieć.

– Cóż, pójdę już – rzekła.

– A, idzie pani... Ile jestem winna?

Zrobiła taki ruch ręką, jakbym ją obraziła.

– Nic, don Pablo reguluje wszystko. – Uśmiechnęła się. – Powiedział mi, że jest pani jednocześnie właścicielką i gościem w tym domu.

3

Czas jest substancją stałą, którą pamięć rozciąga i skraca według własnego upodobania. Moja pamięć raz po raz wraca do tej sceny: rękaw sukienki ociera mi się o nos i mam ochotę kichnąć. Stoję w szafie, wstrzymuję oddech i patrzę na nagie ciała Pabla i Matilde.

Sukienek Delii już tutaj nie było. Nie ma nic smutniejszego niż pusta szafa.

My, wszystkie kobiety z Isla Negra, wypróbowałyśmy choć raz te perfumy. Flakonik zawsze stał na komodzie. Kryształowa buteleczka. Mogę sobie wyobrazić, jak moja matka wciera w nadgarstki ten bursztynowy płyn i jak robi to Matilde. Żadna z nas nie pachniała jednak tak delikatnie jaśminem z drzewną nutą jak Delia. Nawet teraz wydaje mi się, że wyczuwam jej zapach. Minęło dziesięć lat, lecz perfumy się nie zmieniły. Mam wrażenie, jakby wraz z zapachem perfum ona sama pojawiała się na środku pokoju.

4

Znowu lato. To samo światło. Te same drzewa. To samo morze. Ale ja nie jestem już taka sama.

Przejrzałam się w lustrze Alda. To zwierciadło widziało, jak rosną mi piersi, jak wyrastają włosy łonowe i pod pachami.

Nos mi się wydłużył, usta zrobiły się cieńsze, jak u mamy.

Tyle lat bez niej, a teraz wydaje się niemożliwe, że jej nie ma.

Znów idę do kuchni. Serce mi się kraje. Widzę ją, jak miesza zupę, jak przewraca tortillę, tym sposobem, którego nauczyła ją Delia. Je sama wielkimi kęsami, pochylając się nad talerzem. Kropi koszule nad deską do prasowania. Zawsze milcząca, niezauważalna, jak te stare, niezniszczalne meble kuchenne.

Jak mało o niej wiedziałam. Myślałam, że moja matka nie skrywa żadnych tajemnic, a tu wielki sekret. Nie śmiała uznać swego życia za tragedię, ale nie była też szczęśliwa czy raczej miała szczególne wyobrażenie o szczęściu: czuła się spełniona, kiedy ja byłam zadowolona. Postanowiła być matką. Była to jedyna ważna decyzja w jej życiu. Ja postanowiłam nie mieć dzieci. Żeby nikt ani nic nie odebrało mi wolności. Żeby mnie nie porzucono, jak ja porzuciłam ją. Opuściłam ją najpierw w Temuco, a potem w szpitalu.

Śmierć mojej matki: tę wizję wyparłam z pamięci. Nie był to trudny proces. Może dlatego zostałam pisarką – mogłam na nowo napisać swe życie, poprawić, wykreślając dialogi i sceny z łatwością, z jaką się usuwa linijkę czy stronę. Niestety, to nie zadziałało.

5

Juana uparła się, że wyjdzie po mnie na dworzec w Temuco. Skropiła się tą tanią wodą kolońską, którą kupowała mama. Mimo zapachu wionęło od niej cebulą. Poczułam ucisk w żołądku.

Była niższa. Ale przede wszystkim uderzyło mnie to, jak się zmieniły jej oczy – były matowe, nie mogła czytać.

Miała pięćdziesiąt osiem lat, tyle co Pablo; tyle, ile miałyby teraz moja mama. I była do niej taka podobna. Jak ludzie żyjący w parach, upodabniający się do siebie na starość.

Szłyśmy do domu. Zatrzymałam się i chwyciłam Juanę za ramię.

– Chcę ją zobaczyć. Mamę.

I zaczęłam płakać. Łzy płynęły, a ja ich nie mogłam zatrzymać. Płakałam tak, jak płakała Juana w szpitalu.

Wsunęła mi rękę pod ramię. Przez minutę patrzyła na ulicę, jakby rozmyślała.

– Teraz?

Skinęłam głową i zawróciłyśmy w stronę cmentarza.

Spojrzała na moją sukienkę, na buty, fryzurę.

– Zrobiła się z ciebie Francuzeczka – zauważyła. – Mówisz jakoś inaczej.

Po bokach wejścia ustawiono duże wazony z żółtymi chryzantemami oraz białymi i różowymi mieczykami. Kwiaty, jakich nigdy nie widziałam w Paryżu. Kupiłam chryzantemy i z tego powodu też zapłakałam – nie wiedziałam, jakie kwiaty lubiła moja matka.

Nigdy nie byłam na cmentarzu. Nie chciałam iść na Père Lachaise, mimo że Philippe nalegał.

Cmentarz wyglądał jak małe kamienne miasto. Wzdłuż głównej alejki ciągnęły się grobowce z aniołami, inskrypcjami i plastikowymi kwiatami, dalej rozchodziła się sieć bocznych ścieżek, a na końcu wznosiła się wielka ściana z marmurowymi płytami.

Juana przeżegnała się przed jedną z nich szybkim, pewnym ruchem kogoś, kto robi to codziennie.

„Spoczywaj w pokoju, Raquel. Twoja córka i twoja przyjaciółka, które Cię kochają”. Włączyła mnie nawet w swe ostatnie pożegnanie, chociaż nie sądziła, że się tu kiedykolwiek pojawię.

W brązowym wazoniku stały dwie czerwone róże, wciąż świeże.

– Twoja mama wolała te kwiaty.

Czerwone róże. Kwiaty namiętności. Czy może kiedyś Pablo dał jej takie róże?

– Ale twoje też na pewno się jej spodobają. – Wyjęła mi chryzantemy z ręki i przycięła końcówki nożyczkami, które wydobyla z torebki. Zapewne często to robiła. Oddała mi kwiaty. – Zaraz wracam.

Wyjęła z torebki pustą butelkę owiniętą woreczkiem. Poszła do studni, skąd inne kobiety niosły wodę w pojemnikach.

Czekałam na nią z chryzantemami w ręce.

Napełniła wazonik mamy i sąsiedni, po prawej, w którym było pusto. Wyjęła róże i włożyła po dwie chryzantemy do każdego z wazonów.

Wtedy ujrzałam samą siebie, jak przychodzę na ten cmentarz w przyszłości i zbliżam się do dwóch grobów. Wkładam róże do obu wazonów.

Znowu zaczęłam płakać. Ten płacz był inny. Uczucie podobne do spokoju, pewien rodzaj radości. Pomyślałam, że coś takiego czują alpiniści, kiedy zdobędą szczyt w najwyższych górach.

– Pewnie jesteś głodna – powiedziała Juana.

Weszliśmy do restauracji koło cmentarza. We wnętrzu mocno było czuć czosnkem i olejem do smażenia. Nie przeszkadzało mi to. Wszystko, co mnie kiedyś irytowało, teraz tylko wzruszało.

Zajęliśmy stolik koło okna.

– Co byś chciała zjeść? – Juana siedziała z torebką na podołku. Przyszło mi do głowy, że być może nigdy nie była w restauracji.

Podszedł do nas kelner.

– Czy macie rosół z węgorza?

– Oczywiście – odparł.

– Ja chcę to samo – wtrąciła Juana.

– A czego się panie napiją?

Juana spojrzała na mnie.

– Prosimy dzbanek wina – rzekłam.

Przyniósł wino, a potem parujące talerze. Zamknęłam oczy, nim wzięłam do ust pierwszą łyżkę. Kiedy to smak wywołał u mnie tyle emocji? Kiedy wraz z niewidomą Berthe przygotowywałam fondue. I kilka dni temu, gdy jadłam winogrona w Isla Negra.

„A teraz / weź / czosnek, pogładziwszy uprzednio / tę cenną / kość słoniową, / poczuj / jego drażliwy aromat, / po czym / wrzuc posiekany ząbek / do cebuli i pomidora, / i smaź, / aż cebula / zrumieni się złoto”. Przeczytałam przepis w zeszycie Pabla, a później w jego *Odach elementarnych* w wydaniu Losady.

Juana siorbała przy jedzeniu zupy. To też mi nie przeszkadzało.

– Opowiedz mi o tacie, o mamie i tacie. O Pablu i mamie. Jak się poznali.

Juana upuściła łyżkę na talerz. Zapatrzyła się w okno. Położyła ręce na stole, te błyszczące, zniszczone ręce, takie jak u mojej matki.

– Na tańcach.

– Moja matka tańczyła?

– Ona tak. Pablo nie.

Nie podała szczegółów. Jak nagłówki w gazecie. Zaręczyli się w wieku piętnastu lat, w liceum w Temuco. Potem Pablo wyjechał do Santiago. Jedyna miłość mojej matki. A on, owszem, wydawał się zakochany, przynajmniej w tamtym czasie. Pojawił się znów pewnego dnia, dwadzieścia lat później, z odczytem. Matka poszła, by go posłuchać, a pod koniec spotkania podeszła do niego. Razem wyszli z sali i spędzili ze sobą resztę dnia i noc. Następnego dnia wrócił do Santiago. Mama wkrótce dowiedziała się, że jest w ciąży, i postanowiła mnie urodzić. Była szczęśliwa, tak szczęśliwa, jak w ciągu tamtego tygodnia, kiedy z nim chodziła. Nie zamierzała go powiadamiać. Powie mu dopiero wtedy, gdy on znów do niej zadzwoni. Nie zadzwonił nigdy. A moja matka zabroniła Juanie go szukać.

Tak jak zakazała jej mówić mi o tym, że jest chora.

Podziwiałam poczucie godności mej matki, jej dumę. Było to nowe uczucie i rozplýwało się po moim wnętrzu jak łagodny wiatr.

Przypomniałam sobie ten ciemny guzek, o którym mówił Philippe. Widziałam go teraz w środku, w sobie, oświetlonego słońcem, które miało go roztopić aż do zupełnego zniknięcia.

– W końcu zgodziła się do niego zadzwonić – powiedziała Juana – kiedy

nie mogła dostać pracy, nawet w sklepie rybnym. Ale musiała to zrobić po swojemu.

Ja nie miałam się nigdy dowiedzieć, że Pablo jest moim ojcem. A ona miała zostać jego służącą. Poprosiła tylko o dach nad głową i jedzenie dla nas dwóch. I żebym chodziła do szkoły.

Resztę znałam.

– A nie wiesz, czy napisał dla niej jakiś wiersz?

– Nie wiem. Twoja matka nigdy mi go nie pokazała. – Juana pochyliła się nad talerzem, żeby nabrać ostatnią łyżkę zupy. – Ale może... Niedawno pojechałam na jego odczyt do teatru Caupolicán, do Santiago. Mówił o pracce, którą on i Matilde widywali koło swojego domu od dziewiątej wieczorem do późna w nocy, o przygarbionej kobiecie piorącej przy świetle świec. Powiedział, że nigdy nie widział jej twarzy, ale ja myślę, że tą kobietą była twoja matka, choćby nie o nią chodziło. Przeczytał bardzo ładny wiersz, który jej zadedykował. Było tam coś o tym, że w jej włosach płonęły gwiazdy i że była tam sama jak planeta.

Samotna. Jak samotny wydał mi się Pablo w Paryżu.

– Wybaczyłaś mi? – zapytałam Juanę.

– Jestem już za stara, żeby żywić urazę. – Westchnęła. – Jemu też prawie wybaczyłam. I tej Matilde. Twoja matka mówiła, że ludzie zamieniają się w to, co w nich widzimy.

Jej oczy straciły błysk urazy w stosunku do biedy, do Pabla, do mnie, do śmierci. Patrzyła teraz na mnie jak na piękne drzewo, które posadzono na jej oczach i które z sympatią podlewała przez lata. Patrzyła na mnie z dumą, tak jak być może patrzyłaby moja matka, gdyby teraz żyła.

To właśnie spojrzenie matki sprawiło, że stałam się taka, jaka jestem. Nie Delii. Nie Pabla ani nie Berthe. Ani Philippe'a. Spojrzenie matki i – pomyślałam nagle – spojrzenie Alda.

6

Wyszłam boso do ogrodu i zobaczyłam koło wejścia dwa maki.

Wykręciłam jej numer i czekałam, aż odbierze.

– Witaj, Delio. Tu Elisa.

– Wiem, że to ty, córuchno. – Radosny głos, pozbawiony wieku.

– Musisz przyjechać i zobaczyć maki. Znów kwitną.

7

Pocałowała mnie z roztargnieniem i pochyliła się nad makami jak ktoś, kto się wita z dzieckiem.

– Kwiaty są takie tajemnicze. Jak miłość: można im poświęcić całą uwagę, a one nie chcą rosnąć, pojawią się zaś, kiedy najmniej się tego spodziewamy. Nie ma wyjaśnienia. Dla tylu rzeczy nie ma wyjaśnienia.

Weszła i rozejrzała się wokół siebie. Opadła na kanapę. Spódnica podniosła się jej do kolan, ukazując żółtawe nogi z cienkimi niebieskimi żyłkami.

– Victoria miała rację, jak zawsze. Ten dom jest przeokropny.

Uśmiechnęła się, potrząsając białą czupryną. Zapaliła papierosa i wtedy przypomniało mi się, że przypaliłam placek lotaryński. Powiedziałam jej o tym.

– Nieważne. Ale jestem głodna.

Poszła do kuchni i otworzyła lodówkę.

– W porządku. Mamy ser, winogrona i butelkę chianti. Nie musimy się martwić.

Wyjęła ser i położyła go na desce. Pokroiła chleb, nalała wina do dwóch kieliszków i zaniósła wszystko na stół. Usiadłyśmy naprzeciwko siebie, by zjeść bez talerzy i sztućców, jak moja matka i ja jadałyśmy w kuchni w Temuco.

– Nie ma dnia, żebym nie wspominała mamy.

Delia skinęła głową. Znów napełniła kieliszki.

– To raj zmarłych: pozostać w pamięci tych, których kochali za życia.

Z upływem lat stała się mądrzejsza. Lub bardziej wzniosła.

Patrzyłam na jej skórę usianą małymi plamkami i zmarszczkami, na białawą patynę jej oczu, podobną do błony, jaka powstaje na niektórych płynach w wyniku rozkładu. Delia była już ponad zdumieniem, zazdrością, pożądaniem. Starość jest jak strzała, która dosięga nas, zostawiając wyczerpanych na końcu drogi. Ja nie chciałam być mądra, chciałam pędzić dalej.

Nie myślałam o tym wcześniej, lecz teraz przychodzi mi to do głowy. Idę po list od mamy.

– Otwórz, proszę. Przeczytaj.

Muszę nalegać, dopiero wtedy się godzi.

Patrzę na cztery słowa pod światło. Papier jest zmięty, rozpada się w miejscu zagięcia. Zaokrąglone pismo mojej matki – pismo, które nigdy się nie zmieniło.

Delia czyta. Z powrotem wkłada list do koperty. Wręcza mi ją.

– Wiedziałam o tym, Eliso. Wszyscy wiedzieliśmy.

Idzie po kawę, otwiera kafeterkę. Przygotowuje tacę z dwiema filiżankami i nagle płyn wydostaje się z szumem bąbelków.

Patrzy przez okno, w stronę lasu, i przez otwarte drzwi na plażę w oddali.

– Byłam w tym domu bardzo szczęśliwa – mówi.

Powoli nalewa kawę.

– A ja przeciwnie, byłam bardzo nieszczęśliwa.

– Kiedy? – pyta, lecz się nie dziwi. Odstawia kafeterkę na stół.

– Kiedy wyjechałaś i zostawiłaś mnie samą.

Otwiera szeroko oczy i zamyka je, jak nocne reflektory samochodu.

– To była cena, jaką musiałam zapłacić za swą dumę. Nie mogłam wrócić. Ty już wtedy byłaś silna. Zawsze miałaś w sobie siłę.

Podnosi parującą filiżankę do ust, po czym stawia ją delikatnie na spodku.

– Ty też byłaś szczęśliwa, Eliso.

– Szczęśliwa? Kiedy?

– Niech pomyślę.

To jej typowy zwrot, tyle razy słyszałam go, kiedy rozmawialiśmy podczas farbowania włosów czy w drodze do miasteczka.

Tego dnia, kiedy Pablo nauczył mnie wyrabiać ciasto na makaron. Tej nocy, gdy patrzyła w gwiazdy. Innej nocy, gdy Delia i Pablo obejmowali się na brzegu morza.

– Jesteś szczęśliwa, kiedy o tym nie wiesz. Byłaś szczęśliwa, gdy Aldo gapił się na ciebie jak głupi.

Ma rację. Aldo, pierwszy mężczyzna, który patrzył na mnie tak, jak Delia chciała, żeby zawsze patrzono na nią.

– Ten jego nieszczęsny wiersz – mówię. – Był bardzo kiepski.

– To ja napisałam ten wiersz.

Spoglądam na nią zdumiona.

– Nie wiedziałam, że piszesz wiersze.

– Ja też nie. – Roześmiała się i nagle jej śmiech rozluźnił całe moje ciało, jakby uwolnił mnie z gorsetu. – Napisałam, bo mnie o to poprosił. Myślał, że będzie lepszy od jego własnych.

Wyobraziłam sobie scenę, której nie byłam świadkiem. Aldo i Delia w ogrodzie. On prosi ją o wiersz, żeby mi go podarować. I ta wizja powraca, ilekroć chcę przypomnieć sobie Delię: ona pomaga mu zalecać się do mnie.

– Pójdziemy nad morze?

Biegnę do pokoju po jej kapelusz. Towarzyszył mi przez wszystkie te lata, tak jak czerwony szalik matki.

Delia zakłada go. Rondo kryje w cieniu połowę jej twarzy.

Zdejmujemy buty na skraju ścieżki i idziemy po mokrym piasku.

Delia kuca i podnosi różową muszlę, po czym chowa ją do kieszeni.

Podchodzimy do brzegu i fala moczy nas do kolan.

Delia nabiera wody do ręki i pryska na mnie.

Jest dziewczynką, zawsze nią była. Dziewczynką, którą ja nie byłam nigdy.

Idziemy do zardzewiałego statku. Delia staje zwrócona twarzą ku morzu.

– To bez sensu, że przywiązujemy tyle wagi do tej kropli wody, jaką jesteśmy; może być ładna, ale nie może się równać z oceanem. Naprawdę ważny jest ocean. Jak można wierzyć w to, że dusza będzie żyć nadal, gdy zniknie jej naczynie, czyli ludzkie ciało? Dusza rozprysnie się jak woda z rozbitej butelki.

„Jakie to ckiwe” – myślę, a ona nagle kładzie rękę na moim ramieniu.

– Eliso. Bardzo cię kocham. Nie zapominaj o tym.

Słowa znów więzną mi w gardle, jak wtedy, kiedy wyjeżdżała mama.

– Ja też cię kocham – udaje mi się wykrztusić.

Matka nigdy nie powiedziała mi „kocham cię”. Ja też jej tego nie mówiłam. Nikomu. Nawet Philippe’owi.

Nie kochałam go.

A jednak kiedyś, wiele lat temu, czułam coś bardzo bliskiego miłości.

8

Sukienka z niebieskiego jedwabiu, lekko wcięta w talii, bez guzików, z dużym dekoltem z tyłu. Sukienka łatwa do zdejmowania. Sukienka idealna do tańca, na letni wieczór w Paryżu, na późne popołudnie w Isla Negra. Pod spodem bielizna z czarnej satyny. Moje włosy: rozpuszczone, związane, rozpuszczone. Lekkie buty, też łatwo dające się zdjąć.

Znów ruszam brzegiem morza w stronę miasteczka. Jaka krótka wydaje mi się teraz ta droga. Z czasem odległości tak bardzo się zmieniają.

W sklepie nie ma Florencia, wiem o tym, jest tylko chłopak w okularach. Patrzy na mnie, a ja macham do niego ręką.

Przechodzę obok kościoła, koło szkoły. Zapuszczam się w kolejne ulice. Szłam tędy z Florenciem, a potem z Aldem, tamtej nocy.

Odwracam się w ostatnich promieniach słońca i nagle zza rogu wychodzi mi na spotkanie Chu-Tuh.

Nie jest to oczywiście Chu-Tuh. Po prostu jakiś pies. Liże mnie po ręce i schyla głowę, żeby go pogłaskać.

Śmieję się i przypominam sobie śmiech Alda. Zawsze mi się podobał jego śmiech.

Epilog

16 czerwca 1966 roku zapadło orzeczenie sądowe przychyłające się do wniosku Pabla Nerudy o rozwiązanie jego małżeństwa z Delią del Carril. 28 października tego samego roku poeta wziął cywilny ślub z Matilde Urrutią w swym domu w Isla Negra.

W czerwcu 1969 roku Delia del Carril spełniła swoje marzenie, by wystawić własne obrazy w Paryżu, w Librairie-Galerie Josie Péron, pod numerem siódmym przy Rue Saint-Placide.

Pablo Neruda otrzymał literacką Nagrodę Nobla 21 października 1971 roku. Zmarł na raka prostaty 23 września 1973 roku o godzinie 22.30 w klinice Santa María w Santiago¹¹.

Delia dowiedziała się o tym z radia. Jedna z przyjaciółek zastała ją zapłakaną („Słyszałaś, Pablo nie żyje”), ale nie chciała uczestniczyć w pogrzebie. W 1975 roku wyjechała do Bogoty na wystawę pięćdziesięciu i jednej grafiki. Tekst do katalogu napisała Victoria Ocampo: „Te konie rysowane przez Delię, tak pełne życia, jakby się pasły gdzieś na wybiegu, stłoczone, jakby w oczekiwaniu na moment, kiedy otworzy się brama zagrody, są symboliczne. [...] Broniłyśmy – każda na swój sposób, aż do końca – jakichś szlacheckich złudzeń, a może licznych błędów. Nauczyłyśmy się w każdych okolicznościach być przyjaciółkami, obywatelkami świata, w którym człowiek nie trafia na zakazy i granice”.

Victoria Ocampo zmarła 27 stycznia 1979 roku. Jej szczątki spoczęły w rodzinnej krypcie na cmentarzu Recoleta w Buenos Aires.

Matilde Urrutia zmarła 5 stycznia 1985 roku. Jej ciało pochowano wraz z ciałem Nerudy w Isla Negra. Rok później opublikowano książkę z jej wspomnieniami, zatytułowaną *Mi vida junto a Pablo Neruda* („Moje życie z Pabłem Nerudą”).

Delia del Carril umarła o świcie 26 lipca 1989 roku. Jej prochy złożono na głównym cmentarzu w Santiago.

Juana Castillo zmarła 22 sierpnia 1990 roku. Spoczywa na cmentarzu

w Temuco, obok Raquel Luny.

Elisa Luna i jej drugi mąż, architekt Aldo Fernández, od 1989 roku mieszkają w Isla Negra. Zgodnie z planami Nerudy otworzyli „Dom Młodego Poety”, który rok w rok przyjmuje młodych pisarzy z całego świata.

Od autorki

Bohaterowie tej powieści są wzorowani na prawdziwych osobach, ale korzystałam ze swobody tworzenia nowych postaci, faktów i sytuacji. Na przykład Neruda planował zbudowanie domu dla „młodych poetów z całego świata”, w którym „spędzaliby miesiące, pisząc nad morzem” (pokazywał swe plany Sarze Facio w Isla Negra), ale budynek nigdy nie powstał. Poeta miał psa imieniem Chu-Tuh, jednak nie w latach, w których toczy się akcja powieści, tylko później. Notatki Victorii Ocampo w książce Huxleya i w dziele Weiningera są prawdziwe (można je obejrzeć w Villi Ocampo, w dzielnicy San Isidro, w Buenos Aires). Z kolei akapity zaznaczone w książkach przez Nerudę to fikcja literacka. Prawdą jest, że Delia jadała na podwieczorek grzanki z awokado. Matilde Urrutia nie miała plamy na łydce.

Zawarte w powieści cytaty pochodzą z następujących dzieł:

Sólo el hombre („Tylko człowiek”) Pabla Nerudy z *Las uvas de Europa* („Winne grona Europy”) z *Las uvas y el viento* (*Winne grona i wiatr*; cytat znajduje się [tutaj](#)); *La casada infiel* (*Niewierna mężatka*) Federica Garcíi Lorki z *Romancero gitano* (*Romancero cygańskie*; [tutaj](#)); *La paloma* (*Pomyliła się gołąbka*) Rafaela Albertiego z *Entre el clavel y la espada* (*Między goździkiem a szpadą*), wyd. Losada, Buenos Aires, 1941 (książka dedykowana Pablowi Nerudzie; [tutaj](#)); *El fin de la aventura* (*Koniec romansu*) Grahama Greene’a (wyd. Sur, tłum. Pablo Baeza; [tutaj](#)); *La fugitiva* (*W poszukiwaniu straconego czasu. Nie ma Albertyny*) Marcela Prousta (wyd. Alianza Editorial, tłum. Consuelo Bergès; [tutaj](#)). Cytaty i notatki z powieści *After Many a Summer* (*Po wielu latach*) Aldousa Huxleya oraz z dzieła Ottona Weiningera *Sex and Character* (*Płeć i charakter*; [tutaj](#)) pochodzą z egzemplarzy obu książek wystawionych w Villi (tłum. autorki). *Tus pies* („Twoje stopy”) Pabla Nerudy z *El amor* („Miłość”) z *Los versos del capitán* (*Wiersze kapitana*; [tutaj](#)). *Voy a dormir* („Idę spać”) Alfonsiny Storni, [tutaj](#); *Vete de mí* Marii Grever, [tutaj](#); *Oda al amor* (*Oda do miłości*)

Pabla Nerudy z *Odas elementales* (*Ody elementarne*), [tutaj](#); *El sueño eterno* (*Głęboki sen*) Raymonda Chandlera (wyd. Santillana Ediciones Generales, Madryt, tłum. Inés Navarro i Antonio Gómez), [tutaj](#); *Semen* („Nasienie”) Pabla Nerudy, z *Las manos del día* (*Ręce dnia*), [tutaj](#); *Booz endormi* Victora Hugo z *La légende des siècles* (*Legenda wieków*), [tutaj](#); *I Like My Body* (*lubię swe ciało, kiedy jest przy twoim*) E.E. Cummingsa z *Complete Poems 1904–1962* (tłum. S. Barańczaka), [tutaj](#); *Toso solo* (*Samotność w kaszlu moim*) Ozakiego Hôσαι (tłum. Akihiro Yano), [tutaj](#); *Si he muerto y no me he dado cuenta / a quién le pregunto la hora?* („Jeżeli umrę i nie zauważę, kogo zapytam, która jest godzina?”) Pabla Nerudy z *Libro de las preguntas* (*Księga pytań*, dzieło wydane pośmiertnie), [tutaj](#); *Amores: Delia I* („Miłości: Delia I”) i *Amores: Delia II* („Miłości: Delia II”) Pabla Nerudy z *Memorial de Isla Negra* (*Pamiętnik z Isla Negra*; [tutaj](#)), *Oda al caldillo de congrio* („Oda do rosółu z węgorza morskiego”) Pabla Nerudy z *Odas elementales* (*Ody elementarne*; [tutaj](#)), *Oda a una lavandera nocturna* („Oda do praczki nocnej”) Pabla Nerudy z *Discurso pronunciado en un congreso de mujeres en el teatro de Caupolicán, de Santiago de Chile*, z *Para nacer he nacido* („Urodziłem się, by się rodzić”; [tutaj](#)).

Przy pisaniu powieści szczególną pomocą i inspiracją służyły mi następujące książki:

Fernando Sáez, *Delia del Carril. La mujer argentina del poeta Neruda. Biografía íntegra* („Delia del Carril. Argentyńska żona poety Pabla Nerudy. Biografia”), 1997, Sudamericana, Santiago de Chile.

Cartas de amor de Pablo Neruda („Listy miłosne Pabla Nerudy”), zebrał, opatrzył wstępem, przypisami i epilogiem Sergio Fernández Larraín, 1974, Ediciones Rodas, Madryt.

Jorge Edwards, *Adiós, poeta*, 1990, Tusquets, Santiago de Chile.

Volodia Teitelboim, *Neruda*, 1996, Sudamericana, Santiago de Chile.

Volodia Teitelboim, *Huidobro. La marcha infinita* („Huidobro. Niekończący się marsz”), 1996, Sudamericana, Santiago de Chile.

Pablo Neruda, *Poemas de amor* („Listy miłosne”), wybór i prolog Jorge Edwards, 1997, Seix Barral, Buenos Aires.

Pablo Neruda, *Obras* („Dzieła”), tomy I, II i III, 1993, Losada, Buenos Aires.

Pablo Neruda, *Cuadernos de Temuco* („Zeszyty z Temuco”), redakcja i prolog

- Víctor Farías, 1996, Seix Barral, Buenos Aires.
- Pablo Neruda, *Para nacer he nacido* („Urodziłem się, by się rodzić”), 1985, Seix Barral, Barcelona.
- Pablo Neruda, *Confieso que he vivido. Memorias* („Wyznaję, że żyłem. Wspomnienia”), 1992, Planeta, Buenos Aires.
- Pablo Neruda, *Libro de las preguntas* („Księga pytań”; wydanie pośmiertne), 1992, Planeta, Buenos Aires.
- Pablo Neruda, *Tus pies toco en la sombra y otros poemas inéditos* („Twych stóp dotykam w cieniu i inne niewydane wiersze”), 2015, Seix Barral, Barcelona.
- Matilde Urrutia, *Mi vida junto a Pablo Neruda* („Moje życie z Pablem Nerudą”), 1986, Seix Barral, Santiago de Chile.
- Sara Facio, *Pablo Neruda*, 1988, La Azotea, Buenos Aires.
- Margarita Aguirre, *Genio y figura de Pablo Neruda* („Geniusz i postać Pabla Nerudy”), 1964, Editorial Universitaria de Buenos Aires.
- Victoria Ocampo, *Testimonios* („Świadectwa”), serie 1–5, 1999, Sudamericana, Buenos Aires.
- Victoria Ocampo, *Testimonios* („Świadectwa”), serie 6–10, 1999, Sudamericana, Buenos Aires.
- Victoria Ocampo, *Autobiografía*, 1980, Sudamericana, Buenos Aires.
- Luis E. Cárcamo-Huechante, *Entre guerras: las lides de Neruda con Ocampo y Revista Sur (1930–1940)* („Między wojnami: zmagania Nerudy z Ocampo i Revista Sur”), Atenea, 2007, nr 496, II Sem.

-
- 1 Isla Roja (wym. isla roha) – hiszp. czerwona wyspa (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).
 - 2 Hormiguita – hiszp. „mróweczka”, przydomek Delii del Carril nadane jej przez chilijskiego malarza Isaías Cabezóna w uznaniu dla jej niestrudzonej pracy na rzecz biednych artystów, intelektualistów w kłopotach itp.
 - 3 Z wiersza Federico Garcíi Lorki *Niewierna mężatka*, przeł. Jerzy Ficowski.
 - 4 Z wiersza Rafaela Albertiego *Pomyliła się gołąbka*, przeł. Zofia Szleyen.
 - 5 Stara Piwiarnia Poczтовая, Cervecería de Correos, była miejscem spotkań madryckiej bohemy. Przesiadali w niej Federico García Lorca, Rafael Alberti, Eduardo Ugarte, Pablo Neruda, Alejo Carpentier i inni.
 - 6 Z powieści Grahama Greene’a *Koniec romansu*, księga II, rozdz. II, przeł. Jan Józef Szczepański.
 - 7 Oba cytaty z: *W poszukiwaniu straconego czasu. Nie ma Albertyny*, Marcel Proust, przeł. Maciej Żurowski.
 - 8 Bola de Nieve – pseudonim artystyczny kubańskiego muzyka Ignacio Jacinto Villa Fernández.
 - 9 Z: *Oda do miłości*, przeł. Krystyna Rodowska.
 - 10 E.E. Cummings, *lubię swe ciało, kiedy jest przy twoim*, przeł. S. Barańczak.
 - 11 Być może bezpośrednią przyczyną śmierci poety był zastrzyk podany mu w tymże szpitalu, ta wersja wydarzeń nie została jednak nigdy udowodniona.